AS



NR. 8.

21 KWIETNIA 1935 R.
CENA 40 GROSZY.

CZY „BOSKA" GARBO?...

...nie! — to Tala Birell, gwiazda amer. filmu, w której żyłach płynie krew polska.

Zmartwychwstanie...

Znów zmartwychwstanie — jak co roku
ziemi ku nowej wiośnie lot —
i serce się z zimowych oków
odradza znowu — jak co rok...

Plon, co pod śniegu mokre tajnie
ukrył swą życiodajną moc,
we wiośnie znów zmartwychpowstaje
w radosne święto, w Wielką Noc...

Dziś nam króluje symbol boży
i słońca świeci świeży blask
nam, którzy pracą swoją tworzym
nową dziś wiosnę pośród nas!

Nam uśmiech jasny! nam w tej porze
kwiat ziemi, który wstał ze snu!
z serc naszych niechaj dziś wyorze
plon uczuć zmartwychwstały cud!...

W. Z.

Wszystkim naszym Czytelnikom, Korespondentom i Sympatykom życzymy

WESOŁYCH ŚWIĄT!

Redakcja „ASA"

Numer świąteczny powiększony do 40 stron.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER“ S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ.
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). – TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66.
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

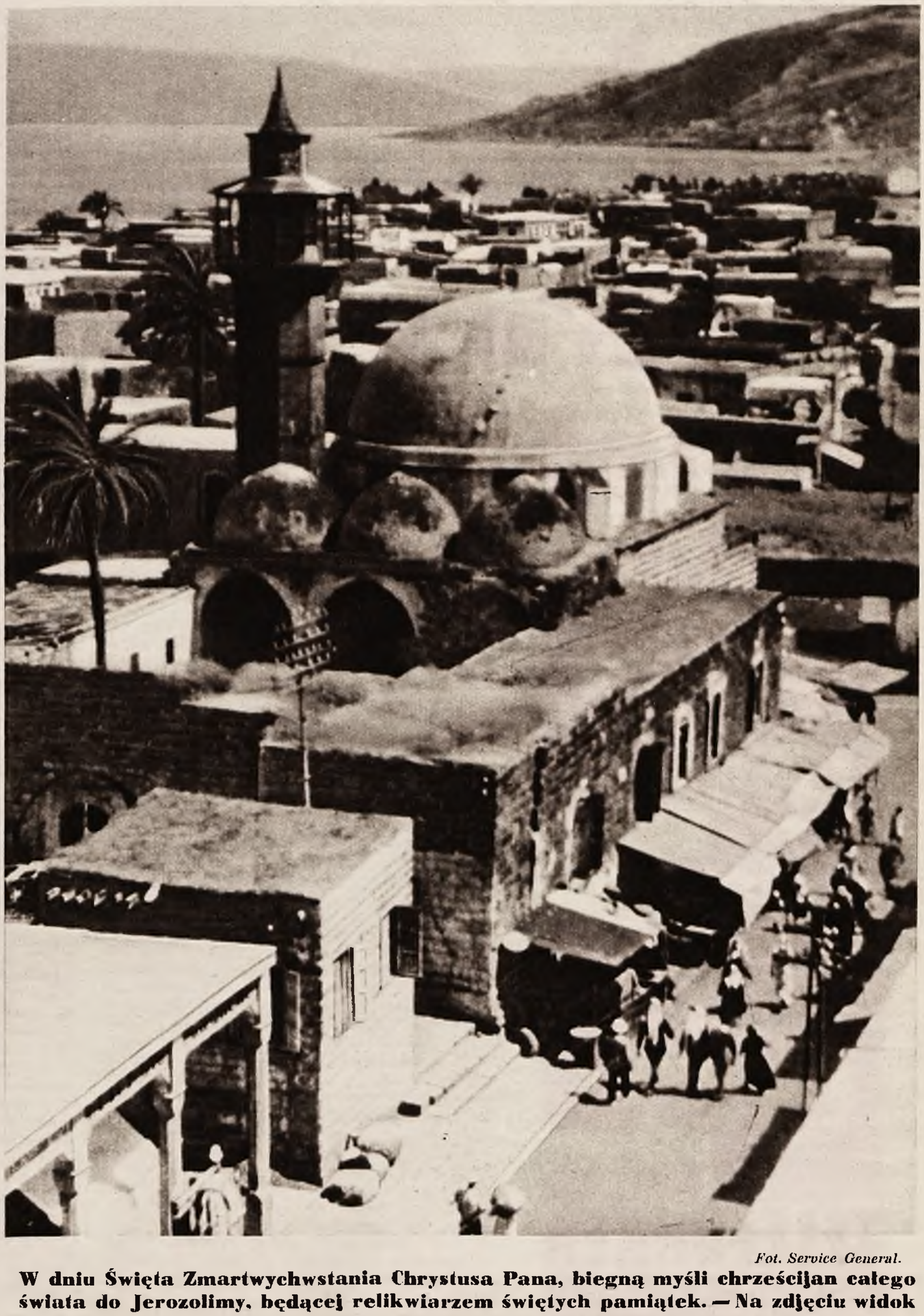
AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

Numer 8 **Niedziela 21 kwietnia 1935** **Rok I**

ASY NUMERU 8-GO:



Fot. Service General.

W dniu Święta Zmartwychwstania Chrystusa Pana, biegną myśli chrześcijan całego świata do Jerozolimy, będącej relikwiarzem świętych pamiątek. — Na zdjęciu widok starej dzielnicy kolebki wiary chrześcijańskiej.

DRAMAT W KROPLI WODY





Flora mikroskopowa w kropli wody stawowej.

To był arcywzór leniwych buchalterów — ten jegomość Leeuvenhoeck, któremu rajcy miejscy nadali później urząd dozorcy sali posiedzeń i przyznali mu wcale piękną pensję miesięczną na utrzymanie za to, że nudząc się za kantorkiem sklepowym, zamiast zapisywać stronice kolumnami cyfr, szlifował szkiełka i oglądał przez nie własne paznokcie, kurz na pulpicie, dziury w ubraniu, krople wody i t. d.

Ten to nicpoń-buchalter zdarł zasłonę romantyczną z kropli rosy i odważył się wbrew twierdzeniom poetów powiedzieć, że to nie zaklęte słońce — ale świat zamknięty w sobie, — podobny naszemu, — w którym żyją malutkie istotki, toczące z sobą zawziętą walkę o byt.

Przepiękny, czarodziejski świat.. Świat pełen romantyki, może nie tej mistycznej, słonecznej, o jakiej piszą poeci, mówiący o wiośnie i słońcu, ale świat życia, bezwzględnej walki o byt. Świat, w którym życie jednostki trwa krótko, jak krótko trwa zmrużenie oka, świat, w którym życie gatunku, rodu, plemienia, klanu, jest najwyższym nakazem, a jednostka niewartym liczmanem. Świat, z którego poczęło się życie na ziemi.

Oto przed oczami naszemi przemyka chyżo owalny kształt, na szarem tle znaczony banieczkami. Porusza nerwowo otaczającemi go rzęskami, przerzuca się to tu, to tam w pogoni za czemś, o czem nie wiemy. Przesuwa się wolno kształt drugi, nieforemny, wysuwający przed siebie wąskie pasemko swego ciała i ściągające je z powrotem. Większe, mniejsze, całkiem małe istotki zapełniają miniaturową kroplę wody; spieszą się, zderzają z sobą. walczą, tworząc tak chaotyczną gromadę, jak chaotycznem jest ich życie.

Różnorodność form... Oto leniwie posuwa się z nurtem kuleczkowa ameba. Po chwili zatrzymała się w biernym biegu, rozlała się jak kropla oliwy na szkle, wysunęła nibynóżkę naprzód, ogarnęła nią małe ziarenko i wciągnęła je do swego wnętrza. Te małe ziarenka, to rośliny, to glony, to mikroskopowe grzybki. Odżywia się niemi to stworzenie.

Tuż obok niej owalny kształt, z którego na wszystkie strony, jak korzenie wyrastają wypustki. To korzenionóżka — rhizopodą nazywa ją zoologja. Przemykają chyżo twory, podobne wężom. Gruba głowa, a za nią cieniutka wić. Takich witek może być więcej. To inny twór z gatunku wiciowców, zwanych technicznie flagellata s. mastigophora. Potem przesuwa się stworzonko, obramowane dokoła kołnierzem falującym na wszystkie strony, — to collaria.

Są inne, mające witki cienkie jak nici. Nitek tych może być bardzo wiele. To dino — albo cilioflagellata.

Ale najpiękniejsze są wymoczki. Takiej różnorodności form, jak u nich nie spotykamy nigdzie w przyrodzie. Chyba, że oczaruje nas widok stworzonek promienistych, których architektura może zakasować wszystkie ornamenty, wymyślone przez fantazję ludzką.

Widzimy ślimacznice, twory koliste, od których, jak promienie od słońca na wszystkie strony wyrastają proste wypustki, łączone wspaniałemi łukami.

Życie w kropli wody, to walka. Natura wyposażyła swe twory w rozmaitą broń zaczepną i odporną. Oto przepiękne, nieraz barwne otwornice mają na sobie mocne pancerze wapienne. Wymoczki mają rzęski opatrzone u dołu pęcherzykiem z jadem. Biada napastnikowi, który zaatakuje napozór bierną roślinkę; na jej łodydze zwisają przypominające kwiaty dzwonki. Z brzegów takiego dzwonka wyleci śmiertelny pocisk.

Ten mały świat, n. p. świat przepięknych otwornic potrafi zmienić oblicze ziemi. One to budują wielkie koralowe rafy, na których rozbijają się potężne statki. One to przed wiekami składając swe ciała na dna morskie, utworzyły olbrzymie złoża kredowe.

A te drobne żyjątka, te napozór niewinne stworzenia mogą nawet zabić króla stworzenia — człowieka.

Świat małych istot żyje i pracuje nieustannie. Pracuje twórczo i pracuje destruktywnie.

Takiem już jest życie.

SAM.

MIKROKOSMOS...
Fotografja pierwotniaków, żyjących w wodach słodkich. →







CZY MÓWI SIĘ DALEJ?

— Ach, panie Henryku... czytałam ostatni numer „Asa". Bardzo mi się podobało to o modzie „Chłopiec czy dziewczyna?".

— Panno Halino, gdy przyglądałem się tym pidżamom, to żałowałem, że nie jestem dziewczyną, ale znowu gdy widzę tyle pięknych kobiet w tem piśmie, to znowu dziękuję losowi, że się urodziłem mężczyzną...

„To pomyłka... tu nie żaden Liwszyc...

— Proszę pani, ciągle ktoś się włącza. To okropne.

— Powinien pan przyjechać koniecznie na Wiekanoc do Zakopanego. Pogoda śliczna. Wiosna. Śnieg. Krokusy. Dni Krakowa powinno się koniecznie urządzić w...

„Warszawie może się pan na mnie poskarżyć, panie Liwszyc... ale naprzód niech mi pan odda moje pieniądze...

— No widzi pan ciągle ten Liwszyc... Chciałam powiedzieć, że dni Krakowa powinno się urządzić w Zakopanem.

—Nie, proszę pani, tam niema Dobrzyckiego. Ten człowiek zna Kraków. Jak idzie przez plac Marjacki to mu się wszystkie gołębie kłaniają. Świetne rzeczy przygotowuje na te dni Krakowa. A więc hejnał marjacki będzie nadany z płyty w Warszawie. Potem odbędzie się uroczyste wbijanie gwoździ do trumny Krakowa. A punktem kulminacyjnym będzie przylot Twardowskiego z księżyca. To będzie największa atrakcja. Wyobrażam sobie, jak go prezydent miasta przyjmie. Powie mu „z nieba pan spadł". A Twardowski będzie chodził po mieście i szukał lombardu.

— Jakiego lombardu?

— No, żeby duszę zastawić... Mam jednego znajomego, to ile razy jest bez pieniędzy, to wywołuje kłótnię ze swą narzeczoną. — Ona odsyła mu pierścionek, a on zastawia. Ale wracajmy do Twardowskiego. Idzie taki pan do Kasy Oszczędności, a tu chorągwie wiszą. Pyta się co to za święto a urzędnik mu na to: „Z księżyca pan spadł. Chorągwie wiszą, bo właśnie jeden obywatel podpisał pożyczkę". A Twardowski na to: „Duszę chcę sprzedać". „Tu nie handel żelazek...", powiedzieli i wyrzucili go. Chodzi po mieście i martwi się. Nikt nie chce kupić duszy — każdy mówi, że ma swoją na ramieniu. Jeden chciał kupić dla swej narzeczonej, takiej lalki, ale nie miał pieniędzy. Aż wreszcie Twardowski krzyknął: „Djabłubym duszę sprzedał". To przybiegł do niego agitator jednej wielkiej partji i powiedział: „Co pan będziesz chodził do konkurencji, nam pan sprzedaj...".

— A to świetna historja — panie Henryku — widzi pan co za ciężkie czasy, nawet głupiej duszy nikt nie chce kupić... Dziś takie bezduszne czasy, że Twardowski to umarłby z głodu, a duszyby nie sprzedał.

— A jednak to będą naprawdę wielkie dni Krakowa. Sam Piccard przyleci, żeby się zobaczyć z swoim wielkim poprzednikiem i zapytać się o drogę na księżyc. Wogóle w tym czasie wszystkie drogi w Europie zamiast do Rzymu będą prowadziły do Krakowa.

— Ach, te nasze drogi...

— Niech pani nie narzeka, to nasze „naturalne granice"... strategiczne... nawet tankiem nie przejedzie... niech się sąsiedzi motoryzują, a my pod nimi dołki na naszych dołach kopmy...

— A propos kopać — co słychać w sporcie?

— Urządza się na Wielkanoc raid gwiaździsty do Zakopanego.

— Ach to świetnie... a w polityce?

— W Stresie obradowali dyplomaci Anglji, Włoch i Francji, chcą zapewnić Europie pokój.

— A co Niemcy na to?

— Nic, Goering się ożenił...

— A widzi pan, on był zawsze tak wojowniczo usposobiony.

— A jaki pałac urządził. W podziemiach luksusowy schron.



Premjer Göring i jego żona Emma z domu Sonneman w towarzystwie kanclerza Hitlera podczas uczty weselnej w Berlinie. *Fot. New York Times*

— Biedak, więc tak bardzo boi się żony.

— Ależ nie — to jest schron przeciwgazowy. Proszę pani idą tak złe czasy, że jak kto będzie chciał być bezpiecznym, to musi polecieć na księżyc...

— Panie Henryku... a możeby tak zamiast na księżyc przyjechałby pan do Zakopanego... To bliżej. Wielkanoc na nartach... czy może być coś piękniejszego...

— Mój Boże, żeby chociaż ten śnieg dotrwał do Bożego Narodzenia.

— Proszę pana, a co słychać w Warszawie.

— Paderewskiego było słychać. Odtworzono jego koncert z przed 50 lat. To była wspaniała muzyka przeszłości...

— A co słychać z reformą ubezpieczeń?

— To jest muzyka przyszłości.

— A jaka jest muzyka teraźniejszości?

— Dzwony...

— Na alarm...

— Nie, dzwony, ale takie, które przeszły metamorfozę...

— Nie rozumiem.

— No, to znaczy, że przetopiono je na armaty. I czy taka armata odlana z wielkiego





CZY MÓWI SIĘ DALEJ?



Poseł japoński w U. S. A. Hirosi Saito ze swą rodziną w czasie przechadzki pod kwitnącemi drzewkami jabłoni w Waszyngtonie. *Fot. New York Times*

dzwonu, nie może powiedzieć: „I dlaczego mówią o mnie, że jestem bez serca...". To są czasy, Twardowski niema komu duszy sprzedać, a serca dzwonów przetopiono na armaty...

— Niech pan nie narzeka. Życie jest piękne, nawet pan zaczyna mi się trochę podobać...

— Panno Halino, wobec tego przyjeżdżam do pani... Proszę o pani rękę. Życie jest piękne. Oto nareszcie kobieta z duszą i sercem.

„To pomyłka... panie Liwszyc...

— Proszę pani, to okropne... ile razy mówię o naszem małżeństwie, zawsze ktoś trzeci musi się włączyć... Więc kiedy termin ślubu...

„Ja panu przyślę świadków... panie Liwszyc...

— Niech się pan w tej chwili wyłączy. No, już go niema. A to natręt. Więc przyjeżdżam... napewno przyjeżdżam. Byłem na przedstawieniu sztuki A. Balickiego „Z żaka król". Marzę, żeby zostać królem. Ach, gdybym był królem, tobym wykopał wszystkich Krakusów z kopców i wszystkie krokusy z pod śniegu. Ubóstwiam kwiaty. Japonja jest krajem kwitnącej wiśni, a my krajem...

— Wiśniówki... Panie Henryku kończę już rozmowę... Życzę panu wesołych świąt.

„Hallo — sześć minut — rozmowę przerywam.

Henryk powiesił słuchawkę. A więc o trzy minuty mniej niż zwykle.

Po chwili dzwonek telefonu.

— Kto mówi?

— *Tu Grotowski z „Asa" — Mikrofon jestem — dlaczego pan tak krótko dziś mówił. Braknie mi materjału... Pan powinien jeszcze trzy minuty mówić...*

— Nie mam czasu. Idę na piwo... na jedno „oko".

— *W takim razie wszystkiego najlepszego...*

MIKROFON.

PIĘKNO WSCHODNICH KOBIERCÓW.



Stary modlitewnik Ghiordes (Smyrna).

Stary kobierzec mało azjatycki Melas.

Z końcem ubiegłego wieku wykupiły niemal za bezcen wielkie domy handlowe, wszystkie stare szlachetne gatunki dywanów na Wschodzie i rozpoczęły fabryczną produkcję dywanów zarówno w Europie, jak w starych siedzibach tego domowego przemysłu. Produkcja nowoczesna, używająca anilinowych farb i spaczonych wzorów, jest często karykaturalnem odbiciem swych dalekich pierwowzorów.

Rozróżniamy kobierce ciężkie i lekkie. Ciężkie wiązane są ręcznie na osnowie pluszowej. Kilimy broszowane ręcznie na osnowie (sumaki), kilimy zwyczajne tkane na warsztatach, aplikacje (sukienna mozaika). Wyrób ręcznie wiązanych kilimów odbywa się w ten sposób, iż do 2 nici (osnowy) zakłada się węzełek w postaci pętli, której obydwa końce zwisają, tworząc plusze. Gęstość osnowy, cienkość i gatunek nici użytych na węzełki stanowi o subtelności kobierca. W dzisiejszej produkcji przypada na cm^2 zaledwie 2 węzełki, podczas, gdy na starych dywanach ilość węzełków dochodzi do 80 na tej samej powierzchni a nawet więcej. Jedna robotnica może zrobić 70.000 wiązań tygodniowo. Na wyrób luksusowego kobierca potrzeba od 3 do 15 lat pracy. Dywan wielkości 61 m kw. pochodzący z królewskiej manufaktury w Persji, a znajdujący się obecnie w British Muzeum, ma 32,500.000 wiązań. Technika tkanych kilimów znana była w starożytnym Egipcie, natomiast wiązane kobierce znajdujemy dopiero w XII w. w małej Azji. Wielkość kobierców zawisła jest od ich użytkowności. Kilimy ludów koczowniczych były małe, natomiast kobierce ludów osiadłych długie i wąskie, przystosowane do małych izb.

Wpływ koranu uwidocznił się na elementach ornamentyki. Na modlitewnikach używany jest motyw „Mihrab" (zamknięty łuk). Barwy kobierców były symboliczne. Harmonję barw kobierców wydobywano prostymi środkami w ten sposób, iż każdy najdrobniejszy ornament, zaznaczano odmienną, zwykle dopełniającą się barwą. Z barwnych plam tworzono harmonijne zespoły, powtarzające się rytmicznie, w coraz to innych zestawieniach. Jednostki barwne łączą się w grupy na zasadzie impresjonistycznej, w całości wyższego rzędu, zwane reportażami. Tensam deseń powtarza się w innym kolorystycznym układzie. Na estetyczne działanie kobierca wpływa decydująco używany barwik. Jeżeli przyjrzymy się jakiejkowiek plamie barwnej szlachetnego kobierca, to dostrzeżemy prążki i pasy od jaśniejszych do ciemniejszych odcieni. Zróżniczkowanie każdej barwy wskutek działania światła sprawia, iż na jednobarwnem tle występuje nowa kombinacja w barwnym układzie akordów kolorystycznych, ożywiająca działanie estetyczne kobierca. Barwy zmieniają się z rozmaitem natężeniem. Czerwień przechodzi miejscami w ton wiśniowy, morelowy lub łososiowy. W ten sposób działanie czasu i światła uszlachetnia ogólny koloryt, dając mu cenną patynę.

Chemiczne nowoczesne farby są ostre i suche. Kolorystykę podnosi jeszcze połysk i mienienie się barw. Wiele gatunków szlachetnych kobierców, pochodzących z właszcza z Turkiestanu, lub Persji, błyszczy odblaskami wszystkich kamieni drogocennych, lub zalane jest, niby księżycową poświatą. Ze zmianą kierunku padania światła na kobierzec, zmieniają się odcienie. Działanie to polega na właściwościach barwików roślinnych, nie wnikających zbyt głęboko do włosa. Barwa położona na szczytach włosków ściera się zczasem, co tworzy szklistą powłokę, nad barwami mieszczącemi się w głębi włosów. Ponieważ układ włosów nie jest nigdy prostopadły, to w następstwie tego powstaje subtelne czarodziejskie *granie kolorów* szlachetnego kobierca. Do wyrobu luksusowych arcydzieł tzw. polskich kobierców, używano prócz nici złotych, srebrnych i jedwabnych, wełny z podgarla specjalnego gatunku owiec.

W Polsce naukowem badaniem kobiernictwa zajmuje się prof. Włodz. Kulczycki, do którego dzieł odsyłamy interesujących się tą piękną gałęzią artystycznego przemysłu Czytelników. *m. d. d.*



Jak Michał Morawa pobił króla...

ZYGMUNT NOWAKOWSKI

NOWELA — **ILUSTR. A. ŻMUDA**

Morawę zatknęło zupełnie. Do kapitana polskiej drużyny przystąpił bowiem jakiś młody, wytworny pan i wskazując właśnie na Morawę, zaczął żywo rozmawiać. Z gestów Michał domyślił się zaraz, o co idzie. Stary hrabia Östersund proponuje zagranie seta z Morawą... Świeciło złote słońce na lazurowym brzegu Riwjery i ani jedna chmurka nie błądziła po niebie, Morawie zaś wydało się, że chyba spadł piorun. Ma zagrać seta z hr. Östersundem! On, Michał Morawa z Łodzi, Cegielniana 73... Przecież to sen jakiś...

Hrabia... To nie imponowałoby jeszcze Morawie. Grywał już z rozmaitymi. Zresztą w tenisie, gdy się stoi na korcie, wszyscy są sobie równi. Idzie tylko o dobrą grę. Nie dziwne mu było tłuc hrabiów czy książąt do zera. Ale tym razem... Nie, poprostu świat się kończy! Bo na czerwonych kortach „Racket Club'u" w Beaulieu koło Nizzy mówiono wprawdzie, że ten starszy pan w okularach, który grywa codziennie od ósmej rano, niby nazywa się „hrabia Östersund", ale wszyscy i tak wiedzieli, że to żaden hrabia, tylko król. Poprostu król szwedzki, Gustaw. Incognito. Nie w koronie ani w gronostajowym płaszczu, tylko w białych spodniach i w popielatym swetrze. Taki sam gracz, jak każdy inny. Tyle tylko, że zawsze ma koło siebie jakichś dwóch młodych panów, o których wiedziano, że są to adjutant i lekarz przyboczny. Zresztą niktby nie poznał ani domyślił się. Taki sam gracz, jak każdy inny. Tyle tylko że stary, bo napewno jest po sześćdziesiątce. Jednak serwis ma niczły, backhand jeszcze dałoby się trochę poprawić, ale czasem uda mu się całkiem porządny drive. Choć do siatki już biegać nie może, wymaga, żeby z nim grać ostro i nawet cieszy się, ile razy mu ktoś piłkę uplasuje w sam róg. Bez gadania, ma styl.

Więc Morawę zatknęło. I dziwić mu się nie można: set z królem!... On, Michał Morawa z Cegielnianej 73! Żeby mu tak kto jeszcze pięć lat temu powiedział... W sekundzie zawirowało wszystko przed oczyma Michała. Ujrzał nagle siebie samego z przed pięciu lat: jest bosy i podaje piłki na kortach łódzkiego „Union-Touring", ul. Przejazd 7... Podaje piłki albo walcuje kort, poprawia linje, goni graczom na posyłki. Mówi się do niego „Michaś". Od chwili, gdy zaczął naprawiać rakiety albo nawet robić całe nowe zaciągi, awansuje na „Michała". Równocześnie zamiast grać z kolegami zwykłą drewnianą „packą", dostaje od jakiegoś pana rakietę, która temuż panu przynosić miała jakoby pecha.

Michałowi przyniosła szczęście. I jakie! Zostaje czemś w rodzaju pół-trenera dla początkujących. Najpierw uczy panie. Takie tłuste, łódzkie, panie, które koniecznie chcą schudnąć. Okropnie nudna rzecz grać z niemi, bo one nigdy się nie nauczą. Żeby grały sto lat!... Ale Michał jest grzeczny i cierpliwy, choć czasem miałby ochotę powiedzieć takiej czy innej żonie fabrykanta, żeby sobie nie zawracała głowy tenisem. Więc uczy te paniusie. Potem zdarza się coraz częściej, że jakiś gracz, nie mając partnera, mówi do Morawy: „Michał, potrenujemy trochę!" Ale że Michał po pierwsze jest grzeczny i wyraża się po ludzku, po drugie zaś ma zawsze czyste pantofle i również zawsze bielutkie spodnie i koszulę, oraz że drivey jego są coraz mocniejsze, więc powoli, powoli znika ten zaimek „ty". Mówią do Michała bezosobowo, n. p. „Może zagramy?" Albo „Proszę mi puścić parę piłek".

I Michałowi, zwłaszcza w sezonie, powodzi się coraz lepiej. Matka i dziadek, który mieszka na Pabjanickiej, kręcą głową nad tem wszystkiem a wuj, podmajstrzy u Poznańskich, mówi, że z Michała już nic nie będzie. Michał jednak nie daje się zbić z tropu. Widzi, że go ludzie traktują coraz lepiej. Raz podał mu rękę jakiś gracz, a nagle, pewnego dnia inny gracz powiada wyraźnie: „Panie Michale, zagra pan mixte'a z nami?" I tak już zostało.

Razem z tem słowem „pan" karjera Michała Morawy potoczyła się z zawrotną szybkością. Wicemistrz Łodzi. Potem mistrz Zakopanego, Krynicy, Lwowa. Przy ogólnopolskich rozgrywkach najpierw czwarte miejsce, w rok później drugie. Potem już tchu złapać nie można. Jako pierwsza rakieta polska jedzie do Meranu. Zdobywa trzecią nagrodę: złoty zegarek na rękę i piekną wazę kryształową, którą matka umieściła na komodzie w mieszkaniu przy Cegielnianej. Wuj zaś na widok tej wazy, wzruszył tylko ramionami i rzekł:

— No, i na co ci się to przyda? Ogórki w tem zakisisz?... Zegarek — jeszcze nie mówię, ale waza... Czego też ludzie nie wymyślą!... Lepiej, żeby ci portki sprawili...

Następnego roku Berlin. Szóste miejsce. Wiedeń — czwarta nagroda. W powrotnej drodze do kraju mistrzowstwo Pragi. Teraz wyjazd z drużyną Polski na Riwjerę. I set z królem... No, może się zawrócić w głowie!

Z królem!... Matka Morawy to była Niemka, córka stróża od Scheiblera i Grohmanna, trochę więc gadał po niemiecku, nabierając zwolna wprawy na turniejach berlińskich czy wiedeńskich. Ale oprócz tego Michał trenował z jakimś młodym nauczycielem gimnazjalnym za lekcje francuskiego. Poduczył się wcale szybko i teraz na Riwjerze stwierdził, że nie da się sprzedać. Mówi, mówi po francusku. Na złość wujowi od Poznańskich, który powiedział matce Michała, że tę francuską gramatykę toby spalił, potrzebne to jak dziura w moście... A już ten sport i tenis to skaranie Boskie!! Michał nic się nie odezwał, tylko powtarzał i powtarzał gramatykę i rozmówki przed wyjazdem na Riwjerę. Ale przez głowę mu nie przeszło, że będzie mówił z królem. I wogóle, jak się mówi do króla? „Król" po francusku „le roi". „Monsieur le roi" — Panie królu? Chyba nie

Pot obleciał go całego. Pyta Jadzi Jędrzejowskiej, mistrzyni Polski, jak

gadać do króla. Ona mówi, że „Majeste", ale kapitan drużyny radzi inaczej. Mówi się poprostu „Sire". A wogóle najlepiej nic nie gadać.

„Sire"... Dobre! Niech będzie „sire"! Wali więc Michał do króla, choć mu nogi po drodze wrastają w ziemię. Za sekundę staje przed siwym, bardzo wysokim i chudym panem, który uśmiechając się życzliwie, patrzy bystro przez okulary. I raptem Michał w swojej ręce... Nie, „ręka" to nie jest odpowiedni wyraz! Lepiej powiedzieć w swojej „łapie", w mocnej, zrogowaciałej od rakiety, twardej łapie trzyma dłoń królewską. Ta dłoń drobna, gładka ścisnęła silnie łapę Michała, który słyszy równocześnie słowa „Bon jour monsieur". Na to ktoś z zewnątrz, ze środka Michała (bo to nie on sam mówił) odpowiada „Sire!" I Michał kłania się nisko, ale już nie rozumie dalszych słów królewskich. Jest bowiem w tej chwili strasznie wzruszony. Widzi ponownie Łódź, dom wuja na Bałutach, siebie, podającego piłki... A tu król mówi do niego...

Pierwsze piłki przeleciały obok oszołomionego Michała. Nie widział ich wcale. Był nieprzytomny wtedy jeszcze, gdy król, kończąc wstępny trening, rzekł wesoło: Commencons, s'il vous plait! I pierwszego gema (serwisowego!!!...) przegrał Michał na sucho, w drugim zrobił wszystkiego piętnaście. Dopiero w trzecim wyciągnął na zero. W czwartym przy jakiemś uderzeniu król krzyknął „Brawo, brawo!", w ślad zaczem posypały się oklaski. Wtedy w Morawę wstąpił duch. Już nie był speszony. Zapomniał o królu, o całem otoczeniu, tylko puszczał piłki, które były jak bomby. Zreflektował się dopiero w szóstym gemie i dał królowi trochę wytchnąć. a nawet dociągnąć do dwóch setball'ów. Skończył jednak na 6:2.

Gdy zmieniali miejsca przed drugim setem. ktoś (pewnie lekarz przyboczny) przystąpił do króla i zamienił kilka słów. radząc widocznie odpoczynek. Ale król nie ustąpił i chciał jeszcze grać. Przerżnął na zero. Ocierając pot z czoła, podał znowu rękę Michałowi i rzekł: „A demain monsieur!".

I przez tydzień cały Michał Morawa



grał z królem od ósmej zrana, pokazując tajniki swego backhand'u, dzięki czemu król wygrał z jakimś Niemcem. Ale już następnego dnia grali po raz ostatni, bo „hrabia Östersund" musiał jechać daleko, do Szwecji. Przy pożegnaniu król uścisnął mocno rękę partnera i powiedział kilka uprzejmych słów o tem, że chciałby Michała zobaczyć kiedyś w Stockholmie. Adjutant zaś wręczył Michałowi mały pakiecik. Była to piękna papierośnica z monogramem i herbem królewskim. W środku widniał napis: „Memu nauczycielowi — Gustaw".

* * *

Gorąco było tego marcowego dnia w Beaulieu. Gorąco i pogodnie. Michał jednak chciałby teraz być w Łodzi, w mglistej, zadymionej Łodzi. Nie u siebie na Cegielnianej ani u dziadka na Pabjanickiej. Nie! Chciałby o dwunastej stanąć pod fabryką Poznańskich, gdy wszyscy wychodzą na obiad.

Przymrużył oczy i widzi bramy olbrzymiej fabryki: idą robotnicy, majstrowie, urzędnicy, dyrektorzy... Wysypują się z fabryki i roztapiają w długich ulicach łódzkich. Ostatni, jak zawsze, wychodzi wuj, Otto Schindler. Mine ma kwaśną i patrzy na Morawę swym kpiącym, złośliwym nieco wzrokiem.

Michał zaś... (O, to chwila triumfu!..). Michał zaś wyciąga z kieszeni papierośnicę, mówiąc:

— Może wujaszek zapali?

— Co to?! Złota?! Znalazłeś?! Mówże prędzej! Michał!

— E, głupstwo... Król mi dał...

— Król? Jaki król?!

— Szwedzki. Grywaliśmy codziennie.

— Z królem grałeś?... A po jakiemu gadaliście?

— Po francusku...

Teraz wuja zatkało. Przez chwilę nie wie, co mówić. Wreszcie, otarłszy najpierw ręce, wyciąga ostrożnie papierosa, kręcąc głową nad monogramem królewskim.

— Hm... Zawsze mówiłem, że tylko przez naukę dojdziesz do czegoś w życiu... Będą z ciebie ludzie! Ja to już twojej matce dawno mówiłem... Ale żeby król szwedzki z tobą, któryś na bosaka gonił na Piotrkowskiej... O, sport to potęga! Potęga! Zawsze byłem tego zdania.

Patrząc proroczem okiem na tę scenę, uśmiechnął się Michał Morawa. Do słońca, do morza lazurowego, do dalekiej Łodzi. Nawet do kwaśnego wuja Schindlera...

NASZA WIELKA ANKIETA.

TYP KOBIETY WSPÓŁCZESNEJ.

Jaką ona jest i jaką pragnąłbym ją widzieć?

Ankieta ta zainteresuje niewątpliwie najszersze sfery: zarówno panie, jak i panów. Zainteresuje tem więcej, że wezmą w niej udział najbardziej głośni pisarze, aktorzy, malarze, muzycy, uczeni, lekarze, rzemieślnicy, kupcy, ziemianie... Będziemy się starali zdobyć opinję ze wszystkich sfer, ażeby znaleźć możliwie najbardziej syntetyczną odpowiedź na pytanie: Jaka kobieta jest ideałem współczesnego mężczyzny.

Dziś mają głos w naszej ankiecie: świetny satyryk i poeta, Marjan Hemar, znany malarz, Stefan Norblin, niedościgniony conferencier i ulubieniec warszawskiej publiczności teatralnej, Fryderyk Jarossy, oraz nasz olimpijczyk, Janusz Kusociński. Z różnych wywodzą się sfer i rozmaite reprezentują poglądy. Każdy z nich wypowiada się w odmienny, właściwy swej umysłowości i swemu temperamentowi sposób: ale napewno każdy odpowiada szczerze. W dowcipie, czy kalamburze nawet kryje się na dnie istotny pogląd, czy określenie ich ideału. *W. M.*

mówi: MARJAN HEMAR.

Szanowna Redakcjo!

Odpowiedzi na niesłychanie interesującą ankietę może być wiele. Na przykład::

Odpowiedź rzeczowa, pozytywna:

Kobieta współczesna jest fotogeniczna — chciałbym ją widzieć domogeniczną.

Odpowiedź natchniona, mętna:

Kobieto współczesna! Imię twoje — człowiek.

Odpowiedź ironiczna, złośliwa (w stosunku do Szan. Redakcji):

Kobieta współczesna jest młoda, stara, otyła, gibka, leniwa, energiczna, wierna, zdradliwa, pusta, głęboka, blondyna, brunetka, inteligentna, tępa, chłodna, gorąca, ponura, wesoła (itp. jeszcze kilkadziesiąt przeciwstawień dla ironicznego wykazania, że kobiety są różne) — chciałbym ją widzieć... zamożną.

Odpowiedź mizogeniczna:

Kobieta współczesna jest zawsze inna, niż chciałbym ją widzieć. Chciałbym ją widzieć zawsze inną, niż jest.

Odpowiedź młodzieńcza, sportowa:

Kobieta współczesna jest moją towarzyszką w rzucie na przełaj, w pływaniu wzwyż, w skoku dyskiem i crawlem przez płotki! Chciałbym ją widzieć rekordzistką.

Odpowiedź cyniczna, erotomańska:

Kobieta współczesna jest nadająca się. Nie chciałbym ją widzieć matką.

Ponieważ nie mogę zdecydować się na wybór którejkolwiek odpowiedzi, (mam jeszcze kilkaset w domu), służę narazie tą małą kolekcją i pozostaję w jaknajlepszym humorze

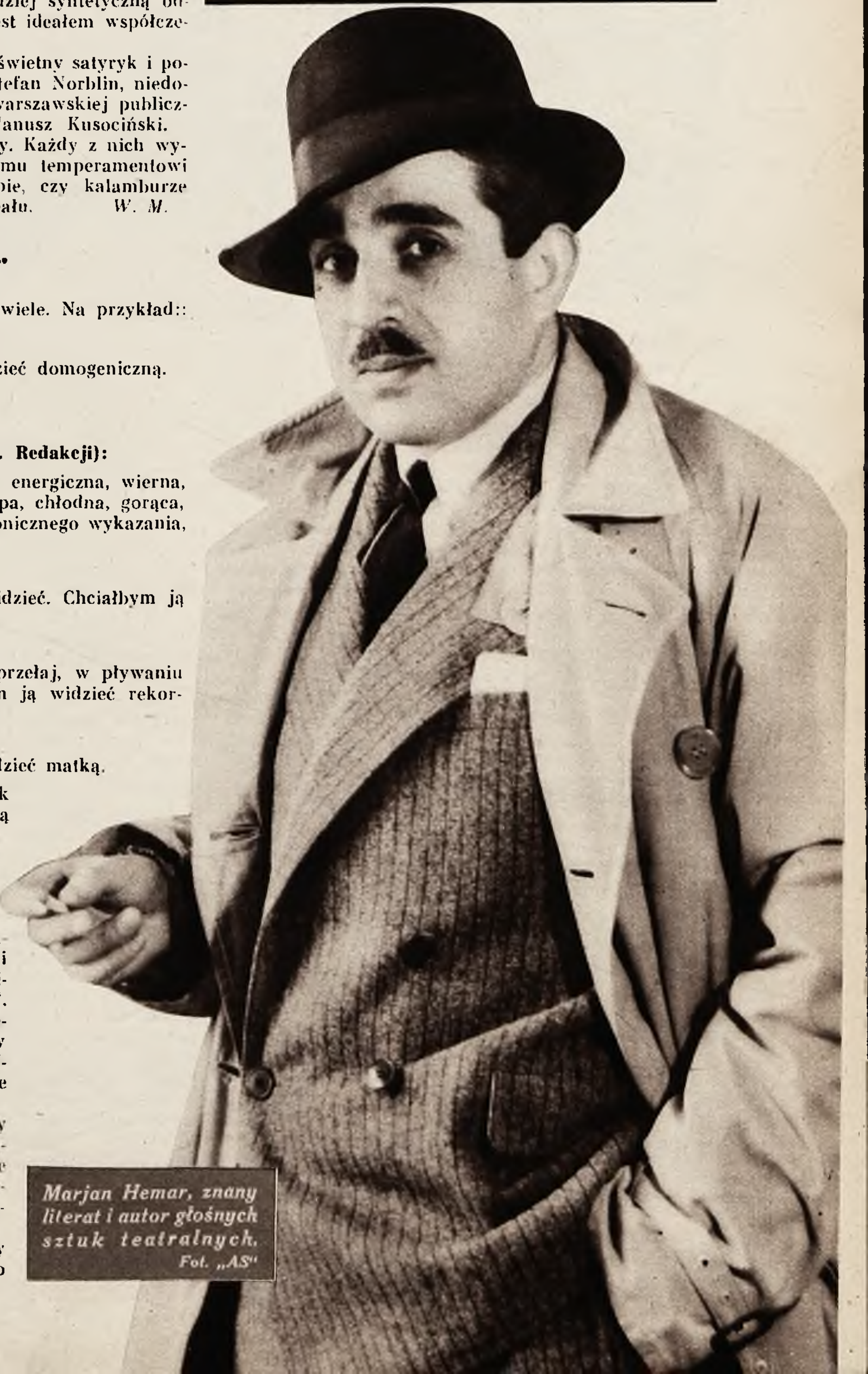
Marjan Hemar.

mówi: STEFAN NORBLIN.

Typ kobiety współczesnej!? Zastanawiam się, czy wogóle taki egzystuje. Wszak najpiękniejszą cechą kobiety, od chwili jej brzemiennej w skutki działalności w raju, aż po dzień dzisiejszy jest to coś, co Niemcy nazywają „das Ewigweibliche". To coś jest wieczne, we wszystkich epokach poszukiwane, cenione i ma wysoki kurs w oczach męskich. Dziś, jak i za czasów króla Ćwieka, ta kapryśna „wieczna kobiecość" odbiera największe hołdy, była i pozostanie najbardziej cenioną cechą. Nie jest zatem bynajmniej niczem specjalnie nowoczesnem.

Chciałbym widzieć kobietę nowoczesną taką, jakiemi były kobiece kobiety wszystkich epok. Do tego ma prawo być piękną i młodą. Muszę z zadowoleniem stwierdzić, że jak na moje skromne potrzeby, jeszcze dostateczna ilość tych cennych, niespaczonych okazów prawdziwej kobiecości zaludnia naszą planetę. Pod tym względem mam spokój.

Niepokoi mnie natomiast inny objaw. Ten czysty, nieskażony typ kobiety jest w powolnym zaniku, tak samo, jak i zanika typ



Marjan Hemar, znany literat i autor głośnych sztuk teatralnych. Fot. „AS"



Stefan Norblin — „as“ wśród polskich portrecistów Fot. „AS“



Janusz Kusociński, mistrz świata w biegach długodystansowych. Fot. „AS“

Poniżej: Fryderyk Jarossy, najwybitniejszy conferencier polskiej sceny rewjowo-kabaretowej Fot. „AS“



prawdziwego mężczyzny. Jest to objaw smutny, a zawdzięczamy go chyba wadliwemu kierunkowi myśli i energji białej rasy. Rozwój techniki, tempo życia, rdzewiejący ustrój ekonomiczny nie nadążający za rozwojem techniki, utrudniają, miast ułatwiać życie nowoczesnym ludziom. Mężczyzna stał się za słaby, by własnemi siłami wyżywić rodzinę. Wciągnął do walki o byt kobietę. Krótkowzroczni nie liczą się z tem, że stwarzają sobie groźnego konkurenta, który ich z wielu stanowisk usunie i chleb im odbierze. Ognisko domowe wygasa — ta której przeznaczone jest podsycanie go — walczy o byt i konkuruje z własnym mężczyzną. Tu się rodzi nowy typ kobiety — ale czy współczesnej i czy wogóle kobiety? Chyba coś nie jest w porządku i mam poważne obawy co do typu kobiety przyszłości!

mówi:
FRYDERYK JAROSSY.

Kobieta nowoczesna spaliła za sobą mosty. To jest jedyne, co jej mam do zarzucenia. Powinna być taką, jaką jest — plus świadomość tego, czem była jej babcia.

O, wtedy byłaby idealną kobietą. To znaczy: Krótkie włosy, ale nie zupełnie krótkie. Towarzysz męża, ale nietylko towarzysz. Wysportowana, ale i bardzo kobieca. Wykształcenie, plus: intuicja. Serce, plus: pedicure. Ręce, które pewnie kierują samochodem, ale prócz tego bardzo czule potrafią głaskać dziecięcą główkę.

Taką mi dajcie!!

mówi:
JANUSZ KUSOCIŃSKI.

Na taki temat jeszcze nigdy publicznie głosu nie zabierałem. Proszę zatem o pobłażanie. Jestem sportowcem (jeszcze), stanu wolnego (narazie) i osobnikiem dosyć nieśmiałym w czynach i poglądach (ciągle). Brak mi z tych względów t. zw. rutyny dla całkowitego wypowiedzenia sądu w ciekawej ankiecie „Asa“. Ale spróbuję — początki przecież zawsze są trudne.

Kobieta współczesna?

A czy to coś nowego, czy właściwie coś innego niż kobieta dawniejsza. Mam wrażenie, że zasadniczych różnic niema. Są tylko nowe okoliczności, nowe wynalazki, więcej stanowisk i posad dostępnych dla kobiet, nowe zainteresowania, nowe kosmetyki i stroje... A zresztą i moda się przecież powtarza, a kosmetyki znali także Chińczycy czy Rzymianie.

Typ kobiety współczesnej?

To pytanie stanowczo zatrudne. Czyż chodzi o typ pracującej czy brydżującej, sportsmenki czy domatorki z dwojgiem dzieci, Francuzki czy Polki, warszawianki czy... Każda kobieta tworzy przecież odrębny typ. To właśnie jest ich zaletą.

Jaką pragnąłbym ją widzieć?

To już bardziej konkretne, choć i tutaj każdy spyta czy chodzi o przyszłą żonę, czy też o ideał obecnej znajomej, przyjaciółki, towarzyszki lub koleżanki. W każdym razie kobieta współczesna musi odznaczać się samodzielnością, ale nie lotnością (pochodzi od „latawiec“), powinna mieć koniecznie swoje własne zdanie i służyć mężczyźnie radami i wskazówkami, w wielu dziedzinach rzeczywiście nieodzownemi. Czy ma pracować? Oczywiście, że tak, ale o ile możliwie we własnym warsztacie pracy, gdyż zależność od przełożonych nie zawsze wypadnie dla niej pomyślnie. Nie musi być koniecznie marmurową pięknością, ale dużo kobiecości i pociągającego wdzięku — to nieodzowny warunek. Uprawianie tenisa, pływania, taniec, kierowanie samochodem i brydżowanie bardzo dobrze działają na samopoczucie, ale wtedy, kiedy jest to odpoczynkiem czy rozrywką a nie nałogiem. Palenie tytoniu — lepiej nie.

Jestem entuzjastą życia towarzyskiego, dlatego bardzo mi się podoba kobieta posiadająca wielu znajomych i obdarzona łatwością przebywania w towarzystwie. Zwłaszcza w późniejszym okresie życia nie wyobrażam sobie małżeństwa bez jednego dziecka (a najwyżej dwóch) i bez wrażenia, że się ma koło siebie dużo prawdziwych przyjaciół. Nie kochałbym takiej żony, którаby nie popierała podobnych poglądów, ale z drugiej strony chciałbym żeby miała własne zdanie, a nie znajdowała się kompletnie „pod pantoflem“ pana i władcy. Chwała Bogu zresztą, że takich kobiet jest coraz mniej.

★ ★ ★

Na tych niezmiernie interesujących wynurzeniach wybitnych przedstawicieli poezji, malarstwa, teatru i sportu — kończymy narazie naszą ankietę, zapowiadając równocześnie dalszy jej ciąg w następnych numerach „Asa“. Przesunie się w nich przed nami cały kalejdoskop najwybitniejszych „asów“ życia polskiego, wypowiadających niezmiernie ciekawe uwagi na ten interesujący temat. Prosimy więc naszych Czytelników o cierpliwość i... do widzenia — do numeru następnego!

Redakcja.

TE OCZY DUŻO MÓWIĄ...





AS NASZEJ MARYNARKI MÓWI:

„Najdramatyczniejszy moment w mem życiu"...

EUSTACHY BORKOWSKI, kapitan s. s. „Kościuszko".

Na pokładzie „Kościuszki" gorączkowe przygotowania do odjazdu. Za kilka godzin statek odpływa w pierwszą, tegoroczną podróż wiosenną do portów południowej Europy i północnej Afryki.

Wielki dźwig portowy stalowem ramieniem przenosi potężne porcje węgla z wagonu na nadbrzeżu do przepastnej czeluści ładowni. W robotniczych kombinezonach uwijają się po statku elektromonterzy, czyniąc ostatnie poprawki i reperacje, stewardzi przygotowują sale jadalne, ścieląc śnieżnobiałe obrusy, korytarzami przebiegają lokaje i majtkowie.

Pniemy się na najwyższy pokład i za chwilę melduję nas steward kapitanowi Eustachemu Borkowskiemu, „asowi" polskiej marynarki handlowej.

W kapitańskiej kajucie jest przytulnie i cicho. Tuż przy wejściu szafa w ścianie, a w niej kapitańskie mundury, książki i różne przybory.

Na stoliku zjawiają się szklaneczki, rozkosznie bulgoce włoski „vermuth"...

— Panie kapitanie! Prosimy o jedno ogniwo do łańcucha wywiadów „Asa" z polskimi „asami".

Kapitan Borkowski oburza się.

— Jaki „as"? Co za „as"?... Jestem skromnym...

— Ależ... Panie kapitanie! Trzydzieści cztery lata pływania po morzach! Sześćdziesiąt pięć razy po przez Atlantyk pod polską tylko banderą! Zresztą imię pańskie jest znane miljonom Polaków i miljonom cudzoziemców!

Kapitan Borkowski, jest jak zwykle, naburmuszony i szorstki, lecz w kącikach szarych, wyblakłych oczów, kryjących się pod kępkami siwych brwi, tli się ogieniek wesołości i niespożytej energji życia, tak dobrze znany tym wszystkim, którzy kiedykolwiek z chlubą naszej marynarki się zetknęli.

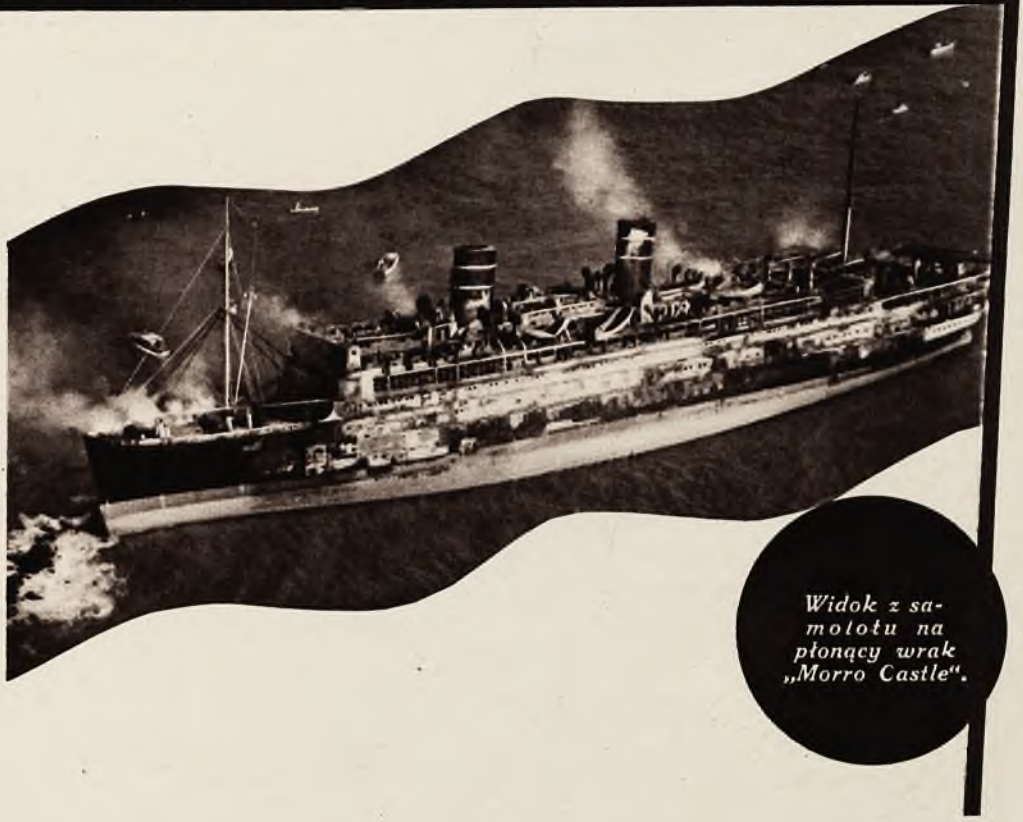
— A więc, kapitanie, jaki był najdramatyczniejszy moment w pana życiu? Kapitan Borkowski namyśla się chwilę i łyknąwszy vermuthu poczyna opowiadać:

— Spodziewa się pan zapewnie usłyszeć odemnie opowieść o jakiejś straszliwej katastrofie okrętowej, z której cudem wyszedłem z życiem, lub coś w tym rodzaju... Rozczaruję pana... Życie marynarza jest tak pełne stałych niebezpieczeństw, że jest on każdej chwili przygotowany na „moment dramatyczny"; skoro więc chwila taka nadejdzie, prawdziwy marynarz jest na nią „nastawiony"; przyjmuje ją bez „dramatu". Najdramatyczniejszy moment w mem życiu przeżyłem niedawno, bo zaledwie przed kilku miesiącami.

Dramatycznym był ten moment dla mnie jako dla marynarza i co ważniejsze... człowieka.

Płynęliśmy niedaleko brzegów amerykańskich, gdy nagle przybiegł do mnie radjotelegrafista z telegramem, że o dwieście mil na północ pali się statek „Morro-Castle". Wysyłał on rozpaczliwe sygnały S. O. S. Na statku powstała panika, ludzie potracili głowy, wzywano ratunku. Według telegramów radjowych na statku rozgrywały się dantejskie sceny...

— Obliczyłem szybko... dwieście mil— dwadzieścia godzin pod pełną parą... już będzie po wszystkiem!... Nie miało sensu płynąć na pomoc. Postanowiłem nie zbaczać z trasy. I oto pod wrażeniem rozgrywającego się nieopodal straszliwego dramatu, podążyliśmy swoją drogą, będąc świadomi swojej bezsilności w tem okropnem nieszczęściu ludzkiem. Każda nowa depesza z nieszczęsnego „Morro-Castle" ryła w mem sercu nową krwawą ranę. Wreszcie po pół godzinie otrzymaliśmy depeszę, że kilka statków, znajdujących się w pobliżu płonącego kolosa, podążyło mu z pomocą. Kamień spadł mi z serca, lecz małe pół godziny niepewności i burzy, targającej sercem, wyżłobiły w mej pamięci niezatarte ślady.



Widok z samolotu na płonący wrak „Morro Castle".

Wierzymy w zupełności kapitanowi— jego słowom, pełnym szczerej prostoty... Zawód jego wymaga ciągłej myśli i troski o powierzone mu życie setek i tysięcy ludzi, z całkowitem zaparciem się własnej osoby.

Już pierwsi z tych setek przybywają na „Kościuszkę"... — żegnamy więc rycerskiego kapitana, życząc mu „pomyślnych wiatrów".

WN. (Gdynia).

WIELKANOC
W ✦ WIECZNEM ✦ MIEŚCIE.

Przed nastaniem faszystowskiej ery w niedzielny poranek wielkanocny wpadała ludność Rzymu w rodzaj obłędu. Już wczesnym rankiem zrywali się wszyscy na równe nogi, gdyż na ulicach i dachach miasta huczała gwałtowna kanonada z moździeży, małych armatek, żabek i pedard, sporządzonych przez ulicznych wisusów. Salwy padały za salwami, niczem ogień zaporowy na polach bitew Wielkiej Wojny.

Obecnie zamilkły strzały, zabronione przez faszystowską milicję.

Już nikt nie odważy się wiwatować na cześć Zmartwychwstania Chrystusa Pana.

Głucho i pusto na ulicach miasta i w olbrzymich jego Bazylikach.

W Wielkanocną niedzielę wybrałem się w pielgrzymkę po kościołach Rzymu, chcąc być świadkiem uroczystych nabożeństw. W przeogromnem wnętrzu bazyliki św. Piotra wałęsały się grupy turystów z czerwonym, lub niebieskim bädeckerem, te same, co codziennie. Tu i ówdzie małe gromadki wiernych oczekiwały cierpliwie na nabożeństwa.

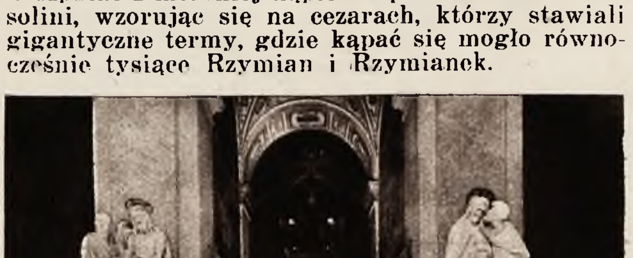


Plac św. Piotra z głównem wejściem do reprezentacyjnych komnat papieskich

Radość świątecznego dnia przenosi się w nowoczesnym Rzymie hen daleko, poza ulice marmurowego miasta. Ludność oblęga dworce, z których co parę minut wyjeżdżają popularne pociągi do Neapolu, Florencji, lub bliskiego Tivoli. Większość korzysta z ostatniej zdobyczy komunikacyjnej, szybkobieżnej kolejki elektrycznej, przenoszącej Rzymianina w ciągu 20 minut do Ostji, na plaże ciepłego już Śródziemnego Morza. Opowiadają, iż wskutek niskich cen, bo wynoszących zaledwie dwa liry za przejazd z Rzymu do Ostji tam i spowrotem, łącznie z wykorzystaniem w mieście autobusu, dowożącego turystów do stacji kolejowej — Rzymianie nauczyli się znowu korzystać z morskiej kąpieli. Spowodował to Mussolini, wzorując się na cezarach, którzy stawiali gigantyczne termy, gdzie kąpać się mogło równocześnie tysiące Rzymian i Rzymianek.



„Pieta", rzeźba w alabastrze, arcydzieło Michała Anioła znajdujące się w jednym z ołtarzy bazyliki św. Piotra w Rzymie.



Kaplica „Scala Santa" obok laterańskiej bazyliki w Rzymie. Środkowe schody zbudowane są ze stopni z pałacu Piłata, po których stąpał Chrystus w Jerozolimie w przeddzień męczeństwa.

Święta Wielkanocne przypadają na najpiękniejszy okres przedwiośnia, zwanego „Primavera-Romana". Rzym stroi się wówczas w swój klasyczny wieniec.

Na Forum Romanum, na Palatyńskim wzgórzu wytryskają z szczelin marmurowych pałaców bujne pęki liljowych glicynij, tworząc bajkowe kaskady. Przepyszne, pąsowe róże tulą się wśród złomów alabastrów, wykwitając nowem wśród ruin życiem. Na tle jasno-lazurowego rzymskiego nieba, strzelają cudowne kolumny z potrzaskanemi głowicami, a ich marmurowe bazy toną w morzu zieleni. Słońce i kwiaty tworzą przedziwny nastrój poezji, wyczuwalnej zmysłami wzroku i powonienia.

Budząca się pod łagodnemi promieniami słońca przyroda, napawa serca ludzkie zmartwychwstającą radością i weselem.

A gdy rozkołyszą się nad Rzymem stare papieskie dzwony, o szlachetnym, a potężnem brzmieniu — wtedy myśl nasza biegnie za miasto na wąski gościniec „Via Appia", do grobowca Metelli, gdzie kiedyś wśród oparnych mgieł, unoszących się nad rzymską kampanją, ukazał się św. Piotrowi, Zbawiciel świata — podążający do Rzymu, aby ponownie ponieść śmierć męczeńską.



Widok z parku Monte Pincio na Rzym.

m. d. d.

CZŁOWIEK · Z · SERWETĄ ·





Umiejętnośc nalewania wina wymaga długich „studjów“ pod okiem zarządcy lokalu.

Jeden był tylko ideałem wszystkich kelnerów świata. I tego już niema... Posiał gdzieś w r. 1919 kości na Podolu, idąc w czołowym patrolu detachement Abrahama...

Znaliśmy go we Lwowie wszyscy młodzi, którym przed wojną paliło się we łbach, którzy warjacką ogarnięci fantazją, formowaliśmy polskie wojsko i nocami na zamarstynowskich błoniach, czy na polach Wólki Hamuleckiej lub też pod Janowem odbywaliśmy ćwiczenia polowe. Znała go dobrze lwowska konspiracja niepodległościowa.

Trzeba było widzieć starannie zawsze odzianego Michasia, jak z życzliwym uśmiechem, z serdecznym gestem, z miłem wejrzeniem oczu, podawał do stołu, przy którym siedziało dziesięciu studentów, pół czarnej na kredyt. Trzeba go było widzieć, jak stojąc w kącie pod sztuczną palmą, przypatrywał się dyskutującej gromadzie i czasami kładł palec na ustach, wskazując wzrokiem osobnika, siedzącego przy stoliku, zaczytanego napozór w dzienniku, a wydłużającego niepomiernie ucho w stronę debatujących.

Trzeba go było widzieć, jak z nonszalanckim gestem, z szyderczym uśmiechem i lekceważącym ruchem, podawał wino, czy drogie potrawy na stół austrjackich oficerów.

Michaś znał wszystkich... Michaś potrafił, kłaniając się uniżenie obrażać i potrafił, nie mówiąc słowa, ani nie robiąc gestu, uczcić należycie tych, których kochał, którzy mu byli bliscy, dla których miał najwyższą cześć.

Michaś był telepatą... Zgadywał, jak czarodziej, kiedy który z nas miał pieniądze, a kiedy ich nie miał. Wystarczyło mu spojrzeć na twarz gościa, ażeby odgadnąć, co chce zamówić, w jakim jest humorze, czy zostanie sam przy stoliku, czy zaprosił liczniejsze towarzystwo, czy jest zadowolony, czy smutny, czy jest zły i rozdrażniony, czy też ma dobry humor i radby się wesoło zabawić.

Kiedy w kieszeni miałeś płótno, a na dworze padał deszcz, czy srożyła się się zamieć śnieżna, a w pokoiku studenckim było zimno jak w psiarni, wystarczyło wejść do kawiarni i usiąść przy stoliku. Michaś podawał ci wtedy wszystkie pisma ilustrowane i przynosił niepytany szklankę mocnej herbaty, a potem nie zgłaszał się po należytość... Wiedział, że student ostatnie grosze wydał na „Regulamin służby polowej“...

A kiedy wchodziłeś, mając w kieszeni koronę, o, to wtedy Michaś kłaniał się z gracją i spokojnym, miłym barytonem deklamował:

— Pan doktór z pewnością zje bigosik i popije go małym pilznerem... Bigosik doskonały, a pilznerek świeżo nabity...

Nie było protestu w takich razach. Michaś zawsze wiedział, co ci smakuje i na co cię stać.

* * *

Dziś już niema Michasiów. Dziś już niema tych „duchów opiekuńczych“, które zjawiały się koło gościa w kawiarni cicho i bezszelestnie; odgadywały wlot jego myśli, załatwiały zamówienie szybko i sprawnie, a potem baczyły na to, ażeby gościowi umilić życie, ażeby mu pozwolić na wytchnienie i odpoczynek... Dziś już niema tych miłych gospodarzy, którzy witali przybysza sercem i byli na jego usługi.

Michaś posiał swe kości na Podolu, idąc w czołowym patrolu detachement Abrahama. Szedł w tej gromadzie, która kiedyś obradowała z wypiekami na twarzach przy małym stoliku kawiarnianym, w tej gromadzie, którą codziennie obserwował, stojąc pod sztuczną palmą w kącie zadymionej kawiarni.

Mówimy o kelnerach.

O kelnerze można powiedzieć to, co się mówi o miłości: — Nie przychodzi — ale jest!

Bezgłośnie, niespostrzeżenie, niemal bezcieleśnie powinien ten „duch kawiarniany“ poruszać się koło nas, reagować na najmniejszy gest, zachować niewzruszony spokój na twarzy bez zarostu, powinien utrzymać należyty dystans, mimo jaknajwiększego zbliżenia.

Barbarzyństwem byłoby nie do darowania wołanie takiej istoty głośno, barbarzyństwem byłoby pukanie na nią ciężką monetą o brzeg szklanki, czy walenie pięścią w stół. Łatwo taką subtelną zjawę spłoszyć.

Idealny kelner ma w sobie coś z legendarnych duchów opiekuńczych, mieszkających

w domach, a dbających o szczęście i spokój mieszkańców. Któżby takie duchy wypłaszał.

Jeżeli mówimy o ideale kelnera, powinniśmy wziąć pod uwagę ideał kawiarnianego gościa. Jakże nam wszystkim daleko do ideału...

A kelner, który osiwiał w służbie, który niejednego obsługiwał gościa, ciągle się uczy, ciągle nie może odkryć właściwej zasady postępowania z ludźmi, bo przecież każdy z ludzi, to inny świat, to inna indywidualność, to inny splot chceń, pragnień i zamiarów... Od idealnego kelnera wymaga się bardzo wiele — mniej wymaga się od idealnego gościa. Bo przecież idealny gość powinien być jedynie człowiekiem dobrze wychowanym. Takim jest klient angielski.

Idealny gość, któremu kelner podał niezamówioną potrawę lub też za chłodną herbatę, nie powinien wychodzić z równowagi i wymyślać. Powinien spokojnie, z lekko zdziwioną miną powiedzieć:

— Zdaje mi się, że nie tego żądałem.



Zawsze jest ktoś niżej postawiony, komu można rozkazać...



Na lewo: „Ludzie z serwetkami" zamawiają kolejno potrawy w kuchni.

To dla kelnera wystarczy. Zrozumie swój błąd i postara się go jaknajlepiej naprawić. Zrobi to o wiele lepiej ,aniżeli złośliwa uwaga, czy też potok słów obraźliwych.

Podobnie, jak wśród gości są indywidualne typy, podobnie indywidualne typy istnieją wśród kelnerów. Zależy to od jakości kawiarni, czy restauracji, zależy to od kraju, zależy od wielu, wielu okoliczności.

U nas przeciętny typ kelnera jest jeszcze człowiekiem niezadowolonym ze swego zawodu. W wielu wypadkach nie należy się temu dziwić. Nie można powiedzieć, ażeby klienci naszych jadłodajni i kawiarń mogli umilić człowiekowi życie. A ponadto tyle każdy z nas ma trosk... Ma je także kelner. Kryzys nie oszczędził nikogo.

Rzecz znamienna, że u nas przeciętny gość gra w kawiarni, czy restauracji despotę i wszelkiemi siłami stara się okazać swą wyższość nad „niewolnikiem", który go obsługuje. To nie może wprawić w dobry humor kelnera i to nie może zrobić z niego „opiekuńczego ducha".

O wiele jaskrawiej to traktowanie kelnerów występuje w Niemczech. Tam przeciętny gość w stosunku do kelnera jest conajmniej cesarzem Wilhelmem II.

Bliskie ideału są tylko stosunki we Francji. Tam kelner jest artystą,. Ileż kunsztu musi rozwinąć paryski garçon, podając zgrabnie z półmiska na talerz zamówione przez gościa potrawy. To mało jeszcze. Kelner francuski sam w oczach gościa przygotowuje niektóre potrawy, jak np. majonezy. Na stoliku obok gościa przyprawia potrawę szybko i składnie tak, że można go podejrzewać o to, że jest czarodziejem.

Kelner francuski umie oceniać swoich klientów. Wie, kiedy może podejść, a kiedy nie powinien. Tak samo wita i żegna gościa, który płaci franka, jak wita i żegna tego, który płaci dziesiątkami, czy setkami franków.

Typy przesuwające się przez kawiarnie są różnorodne, a z każdym z nich „człowiek z serwetą" musi inaczej postępować.

W godzinach rannych przychodzi np. na gazety starszy emeryt, zamawiający stale kawę w specjalnej filiżance z podwójnym kożuszkiem i rożkiem na maśle. Gość taki wita się z kelnerem, jak z dawnym dobrym znajomym. Przychodzą potem studenci, przychodzą parki, które nie przyszły tu dla kawy, ale dla rozmowy w zaciszu. Tacy mają także swoje kaprysy, mają swe dobre i złe strony. Trzeba się do nich dostosować.

Popołudniu na szachy przychodzą miejscowi politycy i dygnitarze. Kelner zna ich wszystkich. Pilnie studjuje swych gości. Usługuje im, jak umie najlepiej. Zjawia się i znika jak cień.

Są goście, którzy przychodzą nad ranem w stanie co najmniej podochoconym, zamawiają czarną, zasypiają nad nią, a potem przypominają sobie, że nie mają czem płacić, bo wszystko stracili w nocy. Są tacy, którzy zapłaciwszy pół czarnej, siedzą godzinami, przeglądając ilustrowane pisma.

Cały świat typów ludzkich przesuwa się przed oczyma kelnera. Kelner niejedno widział niejedno zna i mógłby powiedzieć o niejednem. Iluż to kelnerów jest żywą kroniką swego miasta. Kawiarnia jest dużym wycinkiem życia, na którym rozgrywają się nieraz bardzo ważne sprawy. Te sprawy zna kelner. Patrzy na nie szeroko otwartemi oczyma. Patrzy i milczy, albowiem idealny kelner milczeć potrafi.

* * *

Takim był Michaś, ale już go niema... Posiał swe kości gdzieś na Podolu, idąc w czołowym patrolu detachement Abrahama...

J. B.



Dyrektor eleganckiej restauracji spożywa obiad...

KAŻDA z nich jest... NAJPIĘKNIEJSZA



Popiersie królowej egipskiej Nefretete.



Na lewo: Przedstawicielka urody polskiej — Jadwiga Smosarska.

Jestem przekonany, że zarówno buszmenka z dżungli afrykańskiej, jak i europejska dama — czułaby się srodze dotkniętą, gdyby się dowiedziała jak ją ludy świata charakteryzują, jakie jej przypisują zalety i wady i co o niej wiedzą.

Świat naprzykład jest przekonany, że Polki, Angielki, Skandynawki, kobiety Północnej Ameryki i Niemki są blondynkami, zaś Francuzki, Włoszki, Hiszpanki, oraz mieszkanki Południowej Ameryki, Bałkanu i Dalekiego Wschodu widzi jako brunetki o smagłej cerze.

Przyznam się, że i ja wierzyłem w tę klasyfikację, aż któregoś dnia poznałem prawdziwą blondynkę, która okazała się... Hiszpanką. Mało tego. W jakiś czas potem przekonałem się naocznie, że w Niemczech żyje „kilka“ brunetek — rodowitych Niemek. Utarty sąd o powierzchowności kobiet różnych narodów mamy do zawdzięczenia przeciętnej — każdej rasy, a zarazem malarzom, literatom i filmowi, który ostatecznie ustandaryzował przedstawicielki różnych ras. Szerokie masy zostały poinformowane, że naprzykład Hiszpanka jest czarnowłosą, pełną temperamentu istotą, tańczącą z zamiłowaniem tarantelę, zaś mieszkanka krajów Północnych została przedstawiona jako zimna blondynka.

Obawiam się, że tak samo jak ten przepis na zewnętrzny wygląd kobiet różnych ras — mylny jest także sąd ogółu o jej wartościach ducha. Zapewne.



Oto typ rasowej Hiszpanki.





Piękność z wyspy Bali. — Na lewo: Widok domu w Bali.

każdą rasę charakteryzują pewne różnice usposobienia, pewne małe wady, lub zalety, jednakże mam wrażenie, że są to tylko nieznaczne domieszki do czaru kobiecości, uosabianego przez wszystkie rasy i kolory świata, który na całej kuli ziemskiej jest chyba ten sam.

W czasach, kiedy nie było filmu i pism ilustrowanych, które dziś z łatwością przenikają z kraju do kraju, ulubiony typ poszczególnych narodów nie był tak jednolity. Oglądając dzieła starożytnych rzeźbiarzy i malarzy, przekonujemy się, że zarówno starożytne, jak i do niedawna współczesne ludy — posiadały swój ulubiony typ kobiety. Rzeźba grecka, egipska, oraz rzeźba wszystkich starożytnych ludów — zachowała do dzisiejszego dnia ten typ kobiety. Musimy przyznać, że upodobania starożytnych, nawet w dzisiejszych czasach, kiedy kobieta potrafiła uszlachetnić swą urodę do maksimum — wydają się wprost wygórowane. Weźmy za przykład — najpopularniejsze a zarazem najwspanialsze pomniki kobiety, a zarazem sztuki starożytnej: Wenus milońską i popiersie królowej egipskiej Nefretele, matki króla Tuthankamena.

Kobieta w dawnych czasach była podziwiana i opiewana narówni z bogactwem danego kraju i jego sztuką — przez podróżników i wielkich włóczęgów, przemierzających Europę, skrawki znanej wówczas Afryki i tajemniczej Azji. Typ kobiety danego kraju był podziwu godną atrakcją, tematem tysiąca podań i legend.

W dzisiejszych czasach legendy zostały zastąpione przez szablononą nowelę, w której niezmiennie występuje słodka blondynka o wielkich, niebieskich, zamyślonych oczach. Tę zmianę, a raczej szablon współczesny mamy do zawdzięczenia przedewszystkiem filmowi. W ostatnich latach na całym świecie ustalił masy — zahypnotyzowane plakatem, wywieszką i fotografją kinową — jednolity typ piękności kobiecej, w równej mierze adorowany przez wszystkie niemal ludy Europy, Ameryki, Australji, a także, co bardziej nieprawdopodobne, przez mieszkańców Azji i Afryki.

Rozpowszechniany w filmie, fotografji i pismach ilustrowanych, ma ten typ piękności ustaloną we wszystkich krajach sławę. W ten sposób typ amerykańskiej piękności stał się najpopularniejszym. Być może, że Amerykanka — jako przedstawicielka wielu skrzyżowanych ze sobą ras, była rzeczywiście najodpowiedniejszą do zajęcia przodującego stanowiska i do tytułu królowej piękności świata.

Łatwiej jednak o wiele wytłumaczyć powyższe zjawisko — popularnością filmu. Akurat tak, jak do Indyj, Egiptu, czy Australji przenika do Południowej Ameryki — amerykański film, a z nim razem wspomniany wyżej typ kobiety. Wydaje się prawdopodobnem, że właśnie swej produkcji filmowej zawdzięcza Ameryka, że typ kobiety amerykańskiej zwycięża na wszystkich konkursach piękności, że jest pożądany w teatrze, rewji, czy na ekranie..

Jest to ideał o stereotypowym uśmiechu, o słodkich ustach, bajecznych oczach i o kryształowych proporcjach. Jest to ten ideał używany przez fabryki perfum i przemysł kosmetyczny dla propagandy ich wyrobów. Jest to ten ideał, który dziś wraz ze śpiewem i muzyką pobudza serca do szybszego bicia...

Omawiany typ piękności stał się tak dalece istotny dla narodów świata, które się do niego przyzwyczaiły i z nim zżyły, że zapewnił on sobie bezwzględną popularność i powodzenie wszędzie, gdziekolwiek się zjawi.

Zapomnijmy jednak teraz na chwilę o tem, iż istnieje stardartowa piękność o niebieskich oczach. Weźmy parę fotografij przedstawicielek różnych narodowości; uświadomijmy sobie, że wszystkie one uosabiają kobiecość, pełną powabu, pociągającą, czułą i kochającą. I zadecydujmy, której ofiarowalibyśmy palmę pierwszeństwa...





U góry: Piękność z wysp Towarzyskich. — Na lewo u góry: Jedna z wysp na oceanie Spokojnym.



Królowa karnawału weneckiego — rasowa Włoszka.



Na lewo: Amerykańska piękność kobieca. — U dołu: Nowy Jork





Meczet sułtana Ahmeda Djami w Konstantynopolu. — Na lewo: Przedstawicielka Wschodu — piękność turecka.





U dołu: Murzynki z Kongo belgijskiego. — U dołu na prawo: Wioska w belgijskiem Kongo.

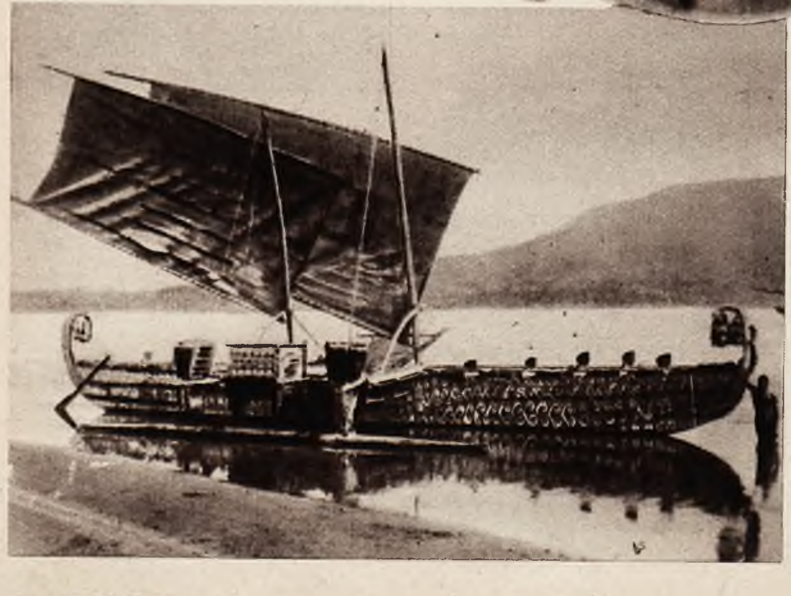


„TAHA WHENUA"
kraj którego szukałem...



Maska z Polinezji, ulepiona na czaszce ludzkiej z kawałkiem skalpu (ze zbiorów J. M. Brzeskiego).

U dołu: Pięknie ozdobiona łódź żaglowa z wysp Hermit.





Piękny naszyjnik z muszel z wysp Oceanji.



Taniec czarnych dziewcząt polinezyjskich.



Drewniana miska, w której mieszkańcy wysp Admiralskich przygotowują jedzenie w dnie świąteczne.



Taniec „Hula" dziewcząt hawajskich.



Typ domu, spotykany na wyspach polinezyjskich.



Kostjumy religijne z Nowej Gwinei.

Obiektyw zdobył wszystko!

Dotarł nawet do ziemskiego raju leżącego na olbrzymim archipelagu Polinezyjskich uroczych wysp hawajskich Tahiti i innych.

W tym szczęśliwym kraju beztrosko żyła dotąd spokojna ludność malajskiej rasy. Drzewa i rośliny dostarczają przez rok cały pożywienia, złożonego z chlebowego owocu, bananów, kokosów, batatów, a urozmaiconego łatwą do upolowania zwierzyną i bogactwem przeróżnych odmian ryb morskich.

Taniec przy dźwięku pełnych upojenia melodyjnych pieś... wypełnia beztroskie życie mieszkańców, którzy mim... obfitości i bujności przyrody nie rozleniwili się, lecz ... niezwykłą umiejętnością uprawiają rolę, trudnią się ... robem tkanin z kory drzewnej, pleceniem mat, snyc... twem i garncarstwem. Do połowu ryb używają łodz... wielce wymyślnej konstrukcji, oraz pomysłowych ... rybackich przyrządów. Kawa i wino palmowe służ... za napój. Domy budują z palisad i mat. Prowadz... spokojny żywot w patrjarchalnym ustroju, ulegają... posłusznie woli swego księcia uposażonego w ś... e „tabu". W bitwie mężni; dopuszczają się jedynie ... udożerstwa w stosunku do pokonanych wrogów. Lubu... się w uroczystościach i tańcach religijnych, do któr... używają malowniczych kostjumów, dziwacznych ... asek i dekoracyjnej broni. Najwyższym ich bogiem ... Maui, który rozdzielił wodę od lądu. Taugaroa stwo...ł wszystko co żyje na ziemi i w morzu. Według wier... polinezyjskich ludów szlachetni i dobrzy wojowni... po śmierci zmieniają się w bóstwo Tii, natomiast ... dusze złych mężczyzn i wszystkich kobiet giną w ni...ci. Spokojnych Malajczyków z wielką łatwością pozy...ują dziś dla chrześcijańskiej wiary przybyli do nich ... misjonarze katoliccy i protestanccy. Za misjonarzami ... zjawili się inni Europejczycy i Amerykanie.

Be... oscy Malajczycy przekonują się coraz częściej, iż ni... na trwałego szczęścia na ziemi, którą dotknął swa... borczą stopą kupiec i spekulant z Zachodu.

Pr... pysze w imieniu swojej kultury wypędzają mieczem ... „wodą ognistą" tych pierwotnych ludzi z ich rajski...j ojczyzny.

Dt.



U dołu: Czarni rybacy południowych mórz, wyruszają na morze.

16 x ZŁY HUMOR I JAK MU ZAPOBIEC?

Nasz konkurs na „Najpiękniejszy uśmiech"

Chyba każdemu z nas zdarzyło się to przynajmniej raz w życiu! Ogarnięci nagłym gniewem, wybuchaliśmy, przeklinając (niektórzy głośno — bardziej powściągliwi tak po cichu w myśli) wszystkich i wszystko wokoło. Niemal zawsze z jakiejś błahej przyczyny rozpoczynał się nasz zły humor... I gdyby wtedy — tak na samym początku „złej pasy" — zaświtała w naszym rozstrojonym mózgu zbawcza myśl, że przecież niemal w każdym wypadku sami jesteśmy sobie winni, natenczas gniew nasz musiałby zgasnąć jak słomiany ogień i nie przyniósłby nam w następstwie wielu szkód i przykrości.

Opanuj się! — oto nasze zawołanie. I zastanów się! — oto nasza rada.

Jak się do niej zastosować, przekonacie się na następujących przykładach:

Gniewasz się, jeśli:	**Nie powinieneś się gniewać, bo:**
1) *Gniecie cię bucik . . . . .*	1) *Dlaczego kupiłeś sobie zamały numer?*
2) *Zgubiłeś spinkę do koszuli . .*	2) *Czy przyszło ci kiedyś na myśl, że posiadając 6 ubrań, masz tylko jedną spinkę? Dlaczego nie wpadłeś dotąd na pomysł kupienia sobie drugiej?*
3) *Jeśli w niedzielę pada deszcz . .*	3) *Przynajmniej porządnie się wyśpisz.*
4) *Jeśli w biurze szef okaże się niesprawiedliwym . . . . .*	4) *Ciesz się, że było ci danem oglądać swego „pana i władcę" w roli zwykłego śmiertelnika, który się myli.*
5) *Jeśli fryzjer przyciął ci źle włosy .*	5) *Bądź zadowolony, że je wogóle jeszcze masz na głowie.*
6) *Jeśli ktoś nastąpił ci na nogę .*	6) *Dlaczego masz takie duże?*
7) *Jeśli nigdy nie wygrywasz na loterji klasowej . . . . .*	7) *Tylko głupi ma szczęście!*
8) *Jeśli na twój anons nie nadejdzie żadne zgłoszenie . . . . .*	8) *Dzienniki muszą wkońcu także z czegoś żyć.*
9) *Jeśli telefonistka źle cię połączy .*	9) *Przedstaw ją sobie jako młodą i piękną dziewczynę.*
10) *Jeśli nikt nie śmiał się z twego dowcipu . . . . . .*	10) *Pociesz się, że pointa była za mądra dla słuchaczy.*
11) *Jeśli towarzysz podróży chce koniecznie razem z tobą czytać twą gazetę . . . .*	11) *Wyjm dział inseratowy i wręcz mu go z uprzejmą miną.*
12) *Jeśli książka, która kosztowała 10 złotych nie podobała ci się . .*	12) *Kup Magazyn „As" za 40 groszy, a znajdziesz w nim napewno coś, co cię zainteresuje.*
13 *Jeśli dziecko sąsiadów krzykiem nie daje ci spokoju . . . .*	13) *Pomyśl, że mogło ono być twojem, a wtedy uznasz je za rozkoszne.*
14) *Jeśli sam jesteś ubogim człowiekiem, a zdarzy ci się zobaczyć bogacza w wytwornej limuzynie . .*	14) *Zastanów się, że i jego czasem brzuch boli.*
15) *Jeśli wczas rano zadzwoni twój budzik . . . .*	15) *Zamknij go i spokojnie śpij dalej.*
16) *Jeśli czujesz się dotkniętym którąś z powyższych rad . . . .*	16) *Człowieku! Nie złość się!*



Człowieku! Nie złość się! — Pragniemy cię widzieć zawsze uśmiechniętym i zadowolonym! Dlatego rozpisujemy niniejszem pierwszy w Polsce, wielki Konkurs na

„NAJPIĘKNIEJSZY UŚMIECH"

i zapraszamy do wzięcia w nim udziału wszystkich Czytelników „Asa", zarówno panie, jak i panów, którzy proszeni są o nadsyłanie pod adresem naszej redakcji fotografij swych pięknych uśmiechów. Zdjęcia, odznaczające się nienaganną techniką wykonania, a zakwalifikowane przez jury redakcyjne, będą kolejno zamieszczane w numerach magazynu „As".

Redakcja „Asa" wyznacza następujące nagrody: Trzy dla uśmiechów pięknych pań: **I. Minjatura „laureatki" w wykonaniu Kazimiery Dąbrowskiej. II. Kryształowa zastawa na toaletę. III. Piękna torebka skórzana, — oraz: Trzy dla uśmiechów urodziwych mężczyzn: I. Portret „laureata" w wykonaniu Stefana Norblina. II. Aparat fotograficzny. III. Piękna laska-parasol.**



do kresu złudy

JULJUSZ MIEROSZEWSKI

N O W E L A

ILUSTROWAŁ CHARLIE

Czytelnicy Ilustrowanego Kuryera Codziennego znają postać dr. Gleowitza. Występował on zarówno w moich powieściach: „Żywy Falsyfikat“, „Berlin II“, jak i w wielu nowelach, które drukowałem na łamach tygodników IKC. Wszystkie jednak jego pomysły nie mogą być porównane z mistrzowskim psychologicznym „chwytem“, który stanowi oś niniejszego opowiadania. — Przepraszam za to wstępne gadulstwo — które na szczęście nie jest moją literacką wadą — lecz przed podniesieniem kurtyny pragnę powiedzieć jeszcze kilka słów: czytelniku jesteś proszony o uwagę! Czytasz nowelę sensacyjną, lecz zbudowaną całkowicie na elementach psychologicznych, bez rewolwerowych strzałów i tem podobnych przestarzałych rekwizytów. Fantazja w niej zawarta jest ujęta w ścisłą logiczną całość i rozwinie się niebawem przed twemi oczyma, jak interesująca partja szachów, w której każdy ruch ma swe logiczne następstwo. Jeżeli zatem nie skupisz całkowicie uwagi i przeoczysz choćby drobny szczegół, nie miej do mnie pretensji, gdy nowela wyda ci się niejasną.

Zaczynam.

Colison chodził wielkiemi krokami po gabinecie, paląc nerwowo cygaro.

— Niech się pan zastanowi! — naraża mnie pan na nieobliczalne straty, a z siebie robi pan idjotę.

Ta obelga — jak również błagalny ton szefa, nie wywarł na Pawle najmniejszego wrażenia. Stał oparty o ścianę w tennisowem ubraniu, wyblanszowany, z fioletowemi wargami.

— Więc cóż? — nalegał Colison, nie spuszczając z jego twarzy swych chytrych niebieskawych oczek.

— Nie zabiję! — powtórzył Paweł zmęczonym głosem i rozsiadł się wygodnie w wyplatanem krześle.

— Ależ to, człowieku, na filmie — przed objektywem!

— Wiem, lecz i tak tego nie zrobię.

Colison rzucił cygaro w kąt, że aż się iskry posypały i uderzył pięścią w biurko

— Warjat, idjota! — przerywa nagrywanie filmu, naraża mnie na straty, idące w setki tysięcy franków, bo mu się nie chce zabić w epizodycznej scence!

— Przepraszam! — wtrącił spokojnie Paweł. — To wcale nie jest scenka epizodyczna, lecz końcowa. Finał całego filmu.

— No to co?? — pienił się Colison bliski ataku apopleksji. — Co tobie do tego? Czy ty układałeś scenarjusz? Masz grać, co ci każą i za co ci dobrze płacą! Wydobyłem cię z nędzy — zaryzykowałem na twoją twarz parę miljonów franków, a ty teraz...

— Uspokój się — wycedził wolno Paweł, wstając z krzesła.

Colison wyjął z kieszeni nowe cygaro, zapalił je i usiadł złamany na fotelu przed biurkiem.

— Jeśli sobie życzysz, przypomnę ci parę faktów z niedalekiej przeszłości — zaczął po chwili Paweł. — Takie reminiscencje działają niekiedy ożywczo. Otóż mam wrażenie, że do scenarjusza mam pewne prawa...

— Wiem, wiem — mówiłeś już sto razy...

Zadzwonił telefon. Colison z niezadowoleniem ujął za słuchawkę.

Paweł popatrzył w jego stronę — uczynił zniechęcony ruch ręką i podniósłszy z ziemi rakietę, wyszedł cicho z gabinetu.

Telefonował de Rola — reżyser i realizator filmu „Mężczyzna nie przebacza“.

— Ten Paweł Jusof to zupełny warjat — mówił trzęsącym się od gniewu głosem. — Było już przecież postanowione, załatwione, ugodzone — zgodził się na wszystko, a dziś w decydującym momencie znowu wyłamał. Na widok Alberty narobił krzyku, rozpłakał się, ukląkł i z błędnym wzrokiem powtarzał histerycznym głosem: „ja nie zabiję, nie zabiję, nie zabiję!“. Powstał popłoch nie do opisania; Alberta dostała spazmatycznego płaczu, wszyscy stracili głowę! Wyobrażasz sobie minę Wylżyckiego, który montuje dźwięk, Lumièra, Avrila i wogóle wszystkich! Zapamiętaj sobie Colison, że ja mam już raz na zawsze dość tcyh histerycznych gruzinów i radzę ci, daj sobie spokój z wyszukiwaniem nowych gwiazd po nocnych tinglach i kabaretach. Co teraz będzie? Co teraz będzie? — powtórzył chrapliwym głosem de Rola. Jeżeli ten głupi Paweł opuści nas teraz, to zostaniemy z kwitkiem. Rób co uważasz za stosowne — ja z tym panem więcej nie rozmawiam!

Suchy trzask gwałtownie odłożonej słuchawki poświadczył, że de Rola był wzburzony jak nigdy.

Colison zapalił ponownie gasnące cygaro i wyciągnąwszy wygodnie nogi, zamyślił się głęboko. Osobiście nie lubił pośpiechu, a czuł, że przeżywa obecnie moment, który wymaga od niego szybkiej decyzji i przytomności umysłu. Jeżeli bowiem nie uda mu się nakłonić Pawła Jusofa do podjęcia gry — on, Colison, jest krótko mówiąc bankrutem. Dwa ostatnie filmy, rezyserowane przez Ukego, zawiodły — ten musi postawić go na nogi! Sytuacja była zupełnie jasna i de Rola zdawał sobie również z niej sprawę.

Spojrzał na zegarek i zadzwonił.

— Samochód! — rozkazał krótko.

Wyszedł do hall'u i oznajmiwszy służącemu, który podał mu kapelusz i laskę, że wróci dopiero około piątej, z opanowaną i pogodną twarzą opuścił drugi pawilon wytwórni „Colison et Co“.

Jechali już przeszło godzinę. Deszcz przysłonił szyby limuzyny gęstą woalką. Paryż czynił wrażenie starego miedziorytu; wszystko było szare, jednobarwne i bez wyrazu. Po ostawili za sobą centrum i posuwali się wolno bocznemi uliczkami wdół Sekwany. Wreszcie po kilku zatrzymywaniach i prośbach o informację dotarli do rue de Pierre Cloche. Zapalały się właśnie uliczne lampy, gdy szofer zatrzymał samochód. Byli na miejscu: rue Pierre Cloche 179.

Colison wysiadł pospiesznie i wbiegł po kilku stopniach do wnętrza ciemnej bramy Z pewnem zdenerwowaniem nacisnął dzwonek. Po upływie kilku minut drzwi się otwarły i ukazał się w nich — jakby z pod ziemi wyrósł — służący podobny do tych, jakich malują na starych angielskich ilustracjach. Dobroduszność pomięszana z chytrością — uprzejmość z pogardą. Całość wygolona, lecz z bokobrodami, w czarnym stroju, stanowiącym stan przejściowy pomiędzy marynarką, a anglezem.

Colison wręczył mu przygotowany bilet.

— Pan dyrektor raczy!

Sucha, o zbyt długich kościstych palcach dłoń, uplastyczniła się w drogowskaz. — Colison wszedł do ponurego przedpokoju, czemu towarzyszyło lekkie przegięcie głowy służącego.

— Bydlę! — pomyślał ze złością Colison, siadając na pierwszym fotelu. Służący jak zjawa na seansie rozwiał się w okolicy drzwi, prowadzących do następnego pokoju.

— Brr! — otrząsnął się Colison ze wstrętem. — Antypatyczny „lokal“, niema co! — Spoista, niemal dotykalna cisza, stała w powietrzu. Jedynie stary bronzowy zegar, stojący na kominku, odmierzał czas obojętnie — niewzruszonym, martwym ruchem. W stalowkej butli na dnie oceanu nie byłoby chyba ciszej i martwiej.

— Pan doktór prosi!

Colison z ulgą powstał z krzesła i przeszedł przez długi hall, po miękim dywanie, tłumiącym najzupełniej odgłos kroków. W drzwiach swego gabinetu powitał Colisona dr Gleowitz.

— Bardzo mi miło — odezwał się obojętnym tonem, wyciągając dłoń do dyrektora.— Proszę... o, może na tym fotelu będzie najwygodniej.

Domawiając tych słów, doktór usiadł przy swem wielkiem biurku, wskazując Colisonowi fotel naprzeciw siebie.

Gleowitz, jak zawsze ubrany był w marynarkowe ubranie z czarnego miękiego wel-



— Nie zabiję — powtórzył Paweł...

wetu, przypruszone popiołem z cygara. Spod siwych brwi patrzył błyszczącemi, jasno turkusowemi oczyma, których wyrazu nie można było uchwycić. Twarz, jakby wymodelowaną z białego wosku, ożywiała bezwzględna pewność siebie i świadomość siły.

— Cóż pana sprowadza do mnie, dyrektorze? — uśmiechnął się uprzejmie.

Colison westchnął.

— Chciałbym jeszcze raz przekonać się o pańskich wyjątkowych zdolnościach — profesorze!

— Czy zwątpił pan w nie?

— Nie. — Colison zmarszczył brwi. — Pozwoli pan — podjął z pewnem zdenerwowaniem w głosie — że natychmiast przystąpię do sedna sprawy. Mam trzy kwadranse czasu.

— Słucham.

— Znalazłem się w dość głupiej sytuacji, profesorze — zaczął po chwili milczenia, starannie unikając wzroku Gleowitza.

— I dlatego przypomniał sobie pan o mnie?

— Nie. Miałem i tak zamiar odwiedzić pana, aby jeszcze raz podziękować za interwencję... to znaczy poradę...

— Ach, niema o czem mówić! — przerwał krótko Gleowitz. — Niech pan tego nie bierze z mej strony za niegościnność — uśmiechnął się — lecz ma pan podobno tylko trzy kwadranse czasu. Jak na wizytę u psychoanalityka jest to i tak bardzo mało... więc...

— Tak ma pan rację, profesorze, ma pan rację! — przytaknął skwapliwie Colison. — Przystępuję do rzeczy i będę się starał streszczać. W maju roku ubiegłego byłem w towarzystwie Lumièra w jednym z nocnych dancingów na Montmatre. Obowiązki tancerza pełnił tam wówczas młody gruzin, nazwiskiem Paweł Jusof. Zwrócił on odrazu moją uwagę swą powierzchownością. Młody, świetnie zbudowany, stanowił typ szlachetnej męskiej piękności.

Colison rzucił krótkie spojrzenie w stronę Gleowitza, który w milczeniu bawił się ołówkiem.

— Niestety sprawa wymaga dokładności i nie mogę pominąć tych nieco nudnych wstępów.

— Nic nie szkodzi, słucham z całą uwagą panie dyrektorze — odparł Gleowitz.

— Otóż, jak wspomniałem, zainteresowałem się Pawłem Jusofem. Potrzebowałem takiego właśnie aktora. Zewnętrznie przedstawiał on typ idealnego filmowego amanta. Szczupły, o wyrazistej fotogenicznej twarzy, wydawał się być materjałem na gwiazdę pierwszej wielkości. Poprosiłem go do naszego stolika, kazałem podać butelkę dobrego wina i wszczęłem z nim rozmowę. Jusof — początkowo sztywny i nieufny, po pewnym czasie i po kilku kieliszkach rozgadał się i opowiedział nam historję swego dziwnego życia. Lumièr był olśniony. Zresztą i ja przyznaję, że słuchałem przez cztery godziny spowiedzi Pawła Jusofa z napięciem i zainteresowaniem, jakiego nie dostarczyła mi dotąd żadna powieść ani żaden film. Pamiętam jak dziś, że o 7-mej rano Lumièr kazał podać kawę i wykrzyknął: „Ależ to świetny scenarjusz!". — Rzeczywiście życie Pawła Jusofa było scenarjuszem pełnym emocji i powikłań, głębokich psychologicznych konfliktów i sensacyjnych awanturniczych przygód. — Nie weźmie mi pan tego za złe — usprawiedliwiał się Colison — lecz jestem zmuszony wtajemniczyć pana pokrótce w treść nakręcanego przez naszą wytwórnię filmu. W przeciwnym bowiem razie misja, którą pragnę pana obarczyć, wydałaby się panu zarówno dziwaczną jak i niezrozumiałą.

— Ależ proszę — niech pan mówi wszystko, co pan uważa za konieczne — odezwał się Gleowitz. — Nie istnieje człowiek, któryby odznaczał się większym treningiem w słuchaniu, niż ja.

— Paweł Jusof pochodzi z arystokratycznej gruzińskiej rodziny. Studja prawnicze ukończył w Moskwie. Tam też poznał córkę jednego z miejscowych lekarzy, w której się zakochał. Niestety młodych dzieliło zbyt wiele różnic i przeszkód. Rodzice Pawła marzyli o synowej bogatej i pochodzącej z wysokich sfer towarzyskich — ojciec panienki pragnął dla swej córki urzędnika. Oprócz tego oboje młodzi odbiegali od siebie krańcowo przekonaniami. Paweł, tradycjonalista, wychowanek korpusu paziów, zamiłowany w zbytku i wielkopaństwie — jego wybrana, studentka medycyny, pochodząca z bardzo skromnej rodziny, od najwcześniejszej młodości brała czynny udział w ruchu socjalistycznym. Mimo tych zasadniczych i poważnych różnic — a może właśnie dzięki nim — młodzi pobrali się. ku obopólnemu niezadowoleniu swych rodzin. Paweł wierzył, że gdy otoczy żonę dobrobytem i luksusem, szybko zapomni o swych młodzieńczych ideałach — Sonia sądziła, że zdoła męża oświecić i pociągnąć ku pracy socjalistycznej. Oboje się zawiedli. Rozdźwięk rósł z każdym rokiem. Wybuchła rewolucja; Sonia, po bezowocnych próbach zbolszewizowania Pawła, jawnie go porzuca i romansuje z jednym z miejscowych czerwonych przewódców. Paweł — po szeregu przygód, które pominę — ucieka za granicę i dostaje się do Paryża. Niech pan dobrze uważa, doktorze Gleowitz! — to co do tej chwili w maksymalnym skrucie opowiedziałem, stanowi treść naszego filmu, jak również autentyczną historję Pawła Jusofa.

— Ach, więc panowie odkupili od niego prawo reprodukcji jego autobiografji — uśmiechnął się Gleowitz.

— Tak — potwierdził Colison. — I nietylko to! On sam miał zagrać, a więc niejako powtórzyć swoje życie przed objektywem. I tu zaczyna się tragedja. Mianowicie nasz reżyser de Rola dokomponował zakończenie tej historji, która w któtkich słowach przedstawia się następująco: Sonia kocha nadal Pawła. Zczasem brzydnie jej raj bolszewicki, porzuca jako biedna emigrantka Rosję i szuka po wszystkich stolicach Europy Pawła. Wreszcie, po wielu miesiącach, odnajduje go w Paryżu. Paweł jednak stał się już innym człowiekiem; poznał i pokochał inną kobietę, otrzymał skromne stanowisko i wykolejone życie nanowo rozpoczął budować na zdrowych podstawach. Nie zapomniał, że był kiedyś zdradzony i porzucony dla czerwonego mużyka. Ratując swe nowe szczęście, zdobyte po tylu trudach i pragnąc definitywnie zerwać z przeszłością, zabija Sonię. To jest epilog dorobiony przez de Rola.

— Bardzo efektowny — uśmiechnął się Gleowitz.

— Tymczasem — podjął szybko Colison — Paweł Jusof urządził nam fatalną niespodziankę. Mianowicie, kilkanaście miesięcy temu, podpisując z nami kontrakt, zaakceptował również całkowicie treść scenarjusza, opracowanego przez de Rola. Obecnie, gdy pozostało nam do nakręcenia dosłownie tylko kilka scen, oświadczył, że filmu nie skończy i nie zabije w końcowej scenie Alberty Watson, odtwarzającej postać Soni. Treść filmu i jego zakończenie uważa za sprzeniewierzenie się swej jedynej miłości.

Gleowitz pragną wtrącić jakieś słowo, lecz Colison mówił bez przerwy, z rosnącem podnieceniem.

— Niech pan zrozumie, doktorze! Cały film, praca reżyserów, operatorów, setek statystów, krótko mówiąc 5 miljonów franków wyrzucone w błoto! Ten pajac popadł w neurasteniczny stan! Treść filmu obudziła w nim tęsknotę za Sonią i nieprzepartą ochotę powrotu do niej. Cały ten proces...

— Przepraszam! — przerwał kategorycznie

(Dokończenie na str. 26).



DWIE LWICE...

„Ach, śliczne fotografje!" —
pani się zachwyca...
lecz wierszyk nie liryczny, lecz
będzie wesoły —
inaczej nie potrafię
napisać o lwicach,
z których jedna jest zwierzem,
a druga — aniołem..

Coś mi się przypomina —
i chciałbym sprostować
teorję o rozwoju gatunków Darwina:
mężczyzna się nie liczy,
od małpy, to drobiazg —
lecz kobieta z pewnością
pochodzi od lwicy...

Lecz jeśli na pożarcie
mam być dziś rzucony,
wolę zwierza... niech połknie mnie
lwica... Rozumiem:
raz — dwa — dramat skończony...
a pani mnie w żarcie
i we flircie tak dręczy — jak lwica
nie umie...

WITEK

Powyżej: „Lwica salonów" — słynna Mae West — na schodach „pałacu z bajki".



Na prawo: „Małżonka króla pustyni" na schodach zwierzyńca Hagenbecka w Hamburgu.

Gleowitz i spojrzał na Colisona, który zamilkł natychmiast. — Proszę mi powiedzieć, czy Paweł Jusof jest dobrym aktorem? Czy pracował kiedy jako aktor?

— Nigdy. Profesor nie wyobraża sobie nawet naszych przejść z Jusofem. Początkowo szło jak z kamienia; manekin byłby bardziej przekonywujący, ruchliwy i naturalny niż on. Wreszcie de Rola stracił cierpliwość i poprosił o zwolnienie go ze stanowiska. Z trudem ubłagałem go, aby spróbował jeszcze przez tydzień. Czwartego dnia po tej decydującej rozmowie, Paweł Jusof przyjechał do studio zmieniony, blady z zaczerwienionemi oczyma. Podszedł do mnie i uśmiechnąwszy się smutno, powiedział: „Znasz Colison to zdanie Goethego: „Co ma żyć w pieśni musi umrzeć w życiu?". Wzruszyłem ramionami — Paweł już od dłuższego czasu mówił od rzeczy. On jednak uchwycił mnie gwałtownie za rękę i mówił z podnieceniem. „Colison wszystko będzie dobrze! — uporałem się; zobaczysz, że nie zawiedziesz się na mnie".

Odwołano mnie do telefonu. Przyznaję otwarcie nie przywiązywałem już wówczas żadnej wagi do jego słów. Byłem zrozpaczony niepowodzeniem; przecież w próbach krótkometrażowych, które nakręciliśmy przed podpisaniem kontraktu — Jusof wypadł wybornie.

Wieczorem tegoż dnia, gdy rozmyślałem nad słowami Pawła, zatelefonował de Rola. Był zdumiony! Jusof zmienił się jednego dnia w świetnego aktora. Kręciliśmy film pospiesznie. Tydzień mijał za tygodniem. Paweł grał fenomenalnie. Zdaniem de Rola był to jeden z najlepszych aktorów filmowych na kontynencie, przytem o tak swoistej dykcji interpretacji, że sądziliśmy, iż film nasz p. t. „Mężczyzna nie przebacza" — zdobędzie wstępnym bojem ekrany Europy. Tymczasem trzy dni temu, jakby uderzył w niego grom. Zmienił się, zbladł — jest nerwowy, histeryczny, taki sam jak przed trzema miesiącami. Darowałbym mu zresztą wygląd zewnętrzny; to dałoby się naprawić szminką, lecz on nie chce grać! — słyszy pan? — nie chce grać! — Głos pana Colisona drżał. Najwidoczniej tylko z trudem opanowywał swe nerwy. — On zupełnie zwarjował, doktorze! — nie chce zabić Soni, bo doszedł do przekonania, że to jedyna jego miłość. Miesza treść filmu z życiem. Ratuj go pan, profesorze! — przecież my nie możemy stracić 5 miljonów franków! Co pan o tem sądzi?

Gleowitz odłożył ołówek, którym bawił się przez cały czas rozmowy i uśmiechnął się.

— Co sądzę, pyta pan?? — Sądzę, że ta Sonia parę dni temu przyjechała do Paryża.

— Cooo? — wykrzyknął Colison. Skądże to fatalne przypuszczenie?

Gleowitz nie przestawał się uśmiechać.

— Więc właściwie czego pan sobie życzy? Colison starł pulchną dłonią pot z czoła.

— Sądziłem, że pan potrafi wpłynąć na Jusofa, aby podjął grę.

— To nie jest takie proste, panie Colison! Paweł Jusof nie jest aktorem. On nie odegrał, lecz przeżył powtórnie część swego życia i tak długo był przekonywującym w swej grze, jak długo treść scenarjusza pokrywała się z jego wewnętrznem przekonaniem. Pod wpływem pewnych czynników jego ustosunkowanie się do przeżytej miłości nagle uległo zmianie. Ta sprawa w jego życiu nie jest jeszcze definitywnie uregulowaną. Oprócz tego, panie Colison, Jusof nie jest ani aktorem, ani kupcem, tylko neurastenikiem i marzycielem — o tem powinien pan pamiętać.

— Nie szczędziłbym kosztów, aby film uratować. Ocalić go może tylko Jusof, podejmując grę. Wydałem już 5 miljonów franków na kosztowne sceny zbiorowe, z udziałem tysięcy statystów, opłacam najlepszych reżyserów, operatorów i aktorów. Czyżby to wszystko miało iść na marne przez kaprys jednego człowieka?

Gleowitz pochylił głowę w zadumie.

— Zastanowię się i spróbuję. Proszę o adres tego Pawła.

Colison wynotował szybko żądane szczegóły, ukłonił się z pewną przesadną uniżonością i wyszedł.

— — — — — — — — — —

W wielkim hotelu na Champs Elysées w wytwornym hall'u, nudził się od kilku kwadransów sympatyczny anglik, w średnim wieku. Ubrany w podróżny garnitur wykończony bronzową irchą, wypalił już dwie fajki i parokrotnie przerzucił ostatni numer „Times'a". Przez wielki kołowrót kryształowych drzwi wchodzili ustawicznie eleganccy podróżni, lecz anglik nie zwracał na nikogo żadnej uwagi. Niemniej stary Schops, dzienny portjer, był przekonany, że obcy gentleman kogoś oczekuje.

— Ekspres z Calais ma pół godziny spóźnienia — zaryzykował, zwracając się z uprzejmym uśmiechem w stronę anglika.

— Ach tak! — zdziwił się niemiło obcy — pół godziny spóźnienia.

— Przesiedział już pan u nas godzinkę, to jeszcze te trzydzieści minut, sir?...

Anglik mruknął coś, tłumiąc ziewnięcie i przysłonił się powtórnie numerem „Times'a". Schops wycofał się zpowrotem do swej loży — w dzień nie miał nigdy czasu na rozmowy.

Po chwili, w wielkim hall'u zapłonęły mleczne światła; a na budynku vis à vis zabłysła czerwona neonowa reklama Wortha, załamując się efektownie w kryształowym kołowrocie drzwi hotelu.

Minęło trzydzieści minut. Przez hall przesunęło się szybko w kierunku drzwi kilkunastu boy'ów. Przy drzwiach wejściowych powstał gwar i zamięszanie i wreszcie ukazało się czoło barwnej karawany, na czele której kroczył Maurice, najstarszy boy, niosąc wiśniowe pudło na kapelusze. Za nim posypali się inni, obładowani neseserami z świńskiej skóry, kuferkami i torbami podróżnemi, poobleplanemi nalepkami wytwornych hoteli. Dopiero na samym końcu kroczyła zdyszana miss Wickerfield w podróżnym kostjumie z przerzuconemi niedbale przez ramię spiętemi srebrnemi lisami.

Stary Schops wysunął się z loży i zgiął swe przygarbione plecy w kornym ukłonie. Anglik, który do tej pory uśmiechnięty stał na uboczu, skłonił się lekko i roześmiał szczerze.

— Mary, nie poznajesz mnie? — Czekam tu na ciebie od półtorej godziny.

Na twarzy miss Wickerfield odbiło się zdziwienie. Zatrzymała się odruchowo, mierząc badawczem spojrzeniem dorodną postać obcego gentlemana. Nim jednak zdołała się opanować — nieznajomy przystąpił bliżej i potrząsnął serdecznie jej ręką.

— Jest pani aresztowana, B 17 — szepnął cicho z zalotnym uśmiechem, pochylając się nieznacznie.

Miss Wickerfield zdobyła się na mdły uśmiech.

— Wiesz, nie mogłam cię poznać Jack! — mam wrażenie, że trochę utyłeś...

— — — — — — — — — —

Jednak as wywiadu francuskiego Gaston Noir (pseudonim) tym razem się potknął. Najskrupulatniejsza rewizja bagażu miss Wickerfield nie dała najmniejszego rezultatu. Co gorsze, tego samego dnia przyjechały do Paryża trzy miss Wickerfield — wszystkie trzy pod fałszywemi paszportami. Zaaresztowano wszystkie, lecz nadal pozostawało zagadką, która z nich jest B 17. Wywiadowi paryskiemu zależało bowiem właściwie tylko na tej jednej jedynej agentce, o której sam Noir utrzymywał, że jest najzdolniejszym szpiegiem na świecie.

Noir przemierzał zdenerwowanym krokiem swój gabinet, powtarzając bezmyślnie: „B 17, B 17, 17, 17".

Poczciwy Durand, który wszystko wykonywał z doskonałą precyzją, lecz sam niczego nigdy nie wymyślił, zapalił papierosa i odezwał się:

— Wiesz Gaston, postaw na loterję na numer 1717.

— Zostaw głupie dowcipy! — burknął Noir. — Jak się Sheries dowie, że B 17 grasuje po Paryżu, pójdziemy na zieloną trawkę. — Psiakrew! — zaklął ordynarnie i usiadł przy biurku.

Noir był wytrawnym „specem" w swoim resorcie. Zlikwidował już bardzo wielu bezimiennych ludzi, używających numerów zamiast nazwiska. Długi szereg takich bezimiennych gentlemanów wysłał pod gilotynę dla dobra Francji.

Lecz B 17 kpiła z niego! Wokół jej tajemniczej osoby w paryskim wywiadzie zaczęła rosnąć legenda. Coraz częściej do uszu Noir'a zaczęły dochodzić epitety: nieuchwytna, genjalna, fenomenalna — jednem słowem drugie poprawione wydanie Fräulein Doktor.

Taka legenda była zabójczą dla jego autorytetu, wypracowanego sumiennie przez tyloletnią służbę. Starzeje się, czy co? Niedługo powiedzą, że B 17 buszuje po tajnych archiwach generalnego sztabu podczas jego poobiednich drzemek.

— Nie rozumiem — przerwał milczenie Durand — jaki cel miały te trzy panny Wickerfield?

Noir uśmiechnął się.

— Ich jedynem zadaniem było zawrócić nam wszystkim w głowie, aby odwrócić uwagę wywiadu od B 17. Te trzy damy, pomijając fakt, że przekroczyły granicę za fałszywemi paszportami, są bez głębszego znaczenia. Żadna z nich na oczy nigdy nie widziała B 17!

Durand ziewnął. Całą noc nie spał — potem przez trzy godziny wałęsał się po zachodnim dworcu — ach! — miał już najzupełniej dość afery z tą przeklętą B 17.

— — — — — — — — — —

Ten sam lokaj o szpakowatych bokobrodach wprowadzał do gabinetu psychoanalityka dra Gleowitza wytworną damę. Jej płaszcz z szenszylli, biżuterja oraz samochód, który czekał przed bramą, świadczyły o miljonowej fortunie. Dr Gleowitz uniósł się uprzejmie ze swego twardego krzesła i wskazał przybyłej fotel nawprost biurka. Ciężkie, turkusowe, nieprzeźroczyste oczy lekarza, spoczęły przez chwilę na twarzy nieznajomej.

— Czułbym się szczęśliwy, gdybym mógł pani w czemkolwiek pomóc — odezwał się Gleowitz, podsuwając jej otwartą platynową papierośnicę.

Nieznajoma chętnie zapaliła podanego papierosa.

— Propozycja moja zdziwi pana zapewne, profesorze — uśmiechnęła się swobodnie, szukając w torebce cygarniczki. — Myślałam jednak o niej długo i dlatego wypowiem ją bez zażenowania, całkiem poprostu, jak zwykło się mówić o rzeczy znanej i omówionej.

Ruchy pięknej pacjentki były harmonijne i opanowane. Gleowitz — patrząc na nią — myślał: czyż ta wspaniała maska nie posiada wszelkich cech naturalności i dziecięcej niemal prostoty?

— Słucham panią — odezwał się głośno.— Jest mi ogromnie miło słyszeć tę zapowiedź. Pracę psychoanalityka nadzwyczajnie utrudnia fałszywy wstyd i zbytnia emocjonalność pacjenta. Człowiek zdenerwowany, przejęty, nie jest nigdy szczery.

— Tak, więc przystępuję do rzeczy — uśmiechnęła się nieznajoma. — Na wstępie chciałabym zaznaczyć, że finanse nie odgrywają żadnej roli; jestem dość zamożną.

Dokończenie w następnym numerze.

LEGENDA O LUDWIKU ★ SOLSKIM.

Sześćdziesiąt lat pracy scenicznej przy 80 młodzieńczych latach życia. Autor tej jubileuszowej notatki, co Solskiego wnukiem mógłby być, napewno dziś, przy swych dwudziestu kilku latach, starzej się czuje od kochanego Jubilata. napewno tak jak on, z taką łatwością nie potrafiłby przesadzać wysokich ogrodowych parkanów . Bo Ludwik Solski, to jak słusznie zauważył Boy, niezwykły fenomen przyrody.

60 lat pracy scenicznej... Wyjątkowe w dziejach teatru całego świata zjawisko. Bo wyjątkowym też artystą jest Ludwik Solski. Jeżeli lat temu trzydzieści mówiono o nim, że jest genjalny, to co dopiero dziś, gdy od tego czasu twórczość jego sceniczna została pogłębiona, rozrosła się, nabrała niezwykłych blasków i mocy.

Tyle w ostatnich dniach napisano i powiedziano o nieśmiertelnych zasługach Solskiego dla kultury polskiej, o jego kreacjach i jego pracy. Ale to wszystko mało. Bo któż potrafi objąć naraz całokształt twórczości sześćdziesięciu lat tego fenomenalnego artysty. reżysera i pedagoga. Na palcach policzyć można tych, którzy śledzili rozwój talentu Solskiego od pierwszych jego występów na deskach teatru. Więc poznać Solskiego możemy z dokumentów, jakiemi będą wyblakłe już może nieco fotografje, wspomnienia, recenzje i przedewszystkiem legenda, która najbarwniej i najtrafniej mówi o legendarnym wprost Ludwiku Solskim.

Legenda mówi nam pięknie o pierwszych chwilach pobytu Solskiego na scenie. Z domu ojca z Niepołomic kilkunastoletni student Ludwik Sosnowski *) powędrował do Krakowa, by zamiast, jak chciał ojciec, pracować w handlu, pójść na scenę teatru Koźmiana i tu grać jako Mancewicz. Stąd podróż do teatru Trapszy w Warszawie. Tu zaangażowano go na tych samych warunkach co u Koźmiana. Musiał grać, śpiewać i tańczyć — bezpłatnie. Rzemiennym dyszlem, promem, piechotą, tłukł się przyszły Ludwik Solski po różnych prowincjonalnych dziurach o chłodzie, głodzie, z zaparciem ucząc się, podpatrując życie, wierząc w swoje nad nędzą i teatrem polskim zwycięstwo.



Solski i Siemaszkowa w „Hardych duszach", przeróbce powieści Orzeszkowej.



Świetna maska Solskiego w sztuce „Przed ślubem".

Dobry syn nie chciał ojcu sprawiać przykrości, mówić mu o swym losie. To też gdy musiał przyjechać do domu ojcowskiego, by stawić się przed komisją poborową, zjawił się przed obliczem ojcowskiem w balowych pantofelkach i w teatralnych sztylpach z lakierowanej ceraty, które pokrywały braki garderoby. A nie chcąc się przyznać ojcu, że to aktorska nędza tak go ubrała, blagował:

— Teraz taka moda w Warszawie — proszę ojca.

*) rodowe nazwisko Solskiego.

Wszystkie fotografje pierwszych kreacyj Solskiego na scenie Teatru im. J. Słowackiego za dyrekcji Pawlikowskiego — ze zbiorów A. E. Balickiego.

Już na łamach „Asa" opowiedział sam dostojny jubilat ten dramatyczny moment swej teatralnej młodości, gdy miał do wyboru albo operę, w której byłby świetnym tenorem, albo teatr dramatyczny, który pociągał go wspaniałemi możliwościami tworzenia najrozliczniejszych kreacyj. Zwyciężył teatr. Solski wrócił do Krakowa, by tu bez przerwy przez 17 lat pracować, a potem po pięcioletniej przerwie, w roku 1905, objąć dyrekcję krakowskiego teatru i rozpocząć najświetniejszy okres swego życia i historji teatru polskiego.

Niema autora, któregoby nie wprowadził na scenę, niema sztuki, którejby nie potrafił wyreżyserować, niema roli, którejby nie zagrał. Zadziwia wielkiemi kreacjami, arcydziełami sztuki aktorskiej, wstrząsa nawet drobnemi epizodami, nie mówiąc na scenie ani słowa. Tak było z Wiarusem w „Warszawiance" Wyspiańskiego. Dał tę rolę któremuś z młodych aktorów, ten odrzucił ją z oburzeniem, że takich „ogonów" nawet gęby nieotwierających, grać nie myśli. Zagrał więc tę rolę sam i stworzył nieśmiertelne arcydzieło, o którem dziś tylko legendy krążą. Nie było jeszcze filmów dźwiękowych, któreby mogły utrwalić twórczość Solskiego i przekazać ją pokoleniom jako jedyny wzór do naśladowania.

Ale o Solskim wczorajszym, o Solskim dnia dzisiejszego i o Solskim jutra — mówić będzie zawsze legenda, która mówi jedynie o ludziach wielkich i czynach wielkich.

Stan. Witold Balicki.



Pierwszy Lalka Solskiego.

NASZ PRZEBÓJ MUZYCZNY!



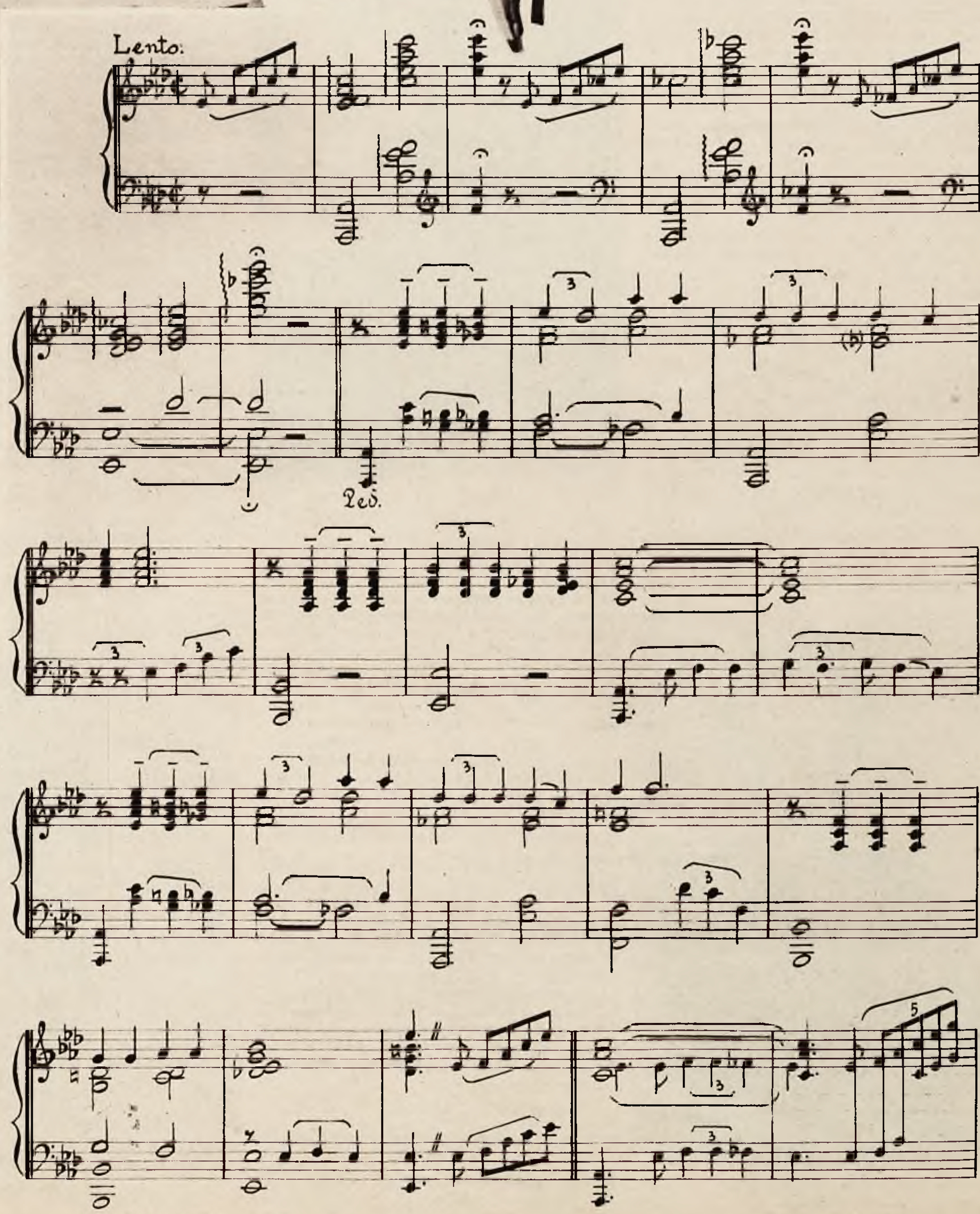
Jutro Cię zobaczę...

SLOWFOX.



M U Z Y K A:
Władysława Prus-Bugayskiego.





Kompozytor slowfoxa: „Jutro cię zobaczę“ — p. Władysław Prus-Bugayski jest inżynierem rolnictwa i specjalizuje się w ichtiobiologji. Mimo swych rozlicznych zajęć zawodowych kultywuje z zapałem kompozycję utworów tanecznych i w tej dziedzinie zdobył już sobie powodzenie i zasłużony rozgłos. Kilka jego kompozycyj włączyli w swój repertuar „Polscy Revellersi“. Zostały one też nagrane na płytach gramofonowych.

Inż. Bugayski jest też autorem scenarjusza i ilustracji muzycznej znanego krótkometrażowego filmu tatrzańskiego „Wiosna narciarzy“, przy którego realizacji pracował jako współreżyser.

Mimo amatorskiego charakteru pracy tego utalentowanego kompozytora, utwory jego odznaczają się nienaganną formą, przejrzystą fakturą i — co najważniejsze — bogatą inwencją w melodyce i harmonicznem ujęciu każdej frazy muzycznej. Zamieszczony dziś przez nas slowfox: „Jutro cię zobaczę“ posiada wszystkie te zalety i jako taki stanie się niewątpliwie przebojem wiosennego sezonu tanecznego.

el.





Tanecznym krokiem dookoła Europy...

Tylekroć słyszeliśmy w Paryżu skargi, pochodzące zarówno od Polaków, jak i od cudzoziemców, znających Polskę i jej sztukę:

— Dlaczegóż wreszcie nie pokażecie nam baletu polskiego?

— Dlaczego nie organizuje się pokazu tańców polskich na jednej ze scen Paryża?

Pytania takie zadawali różnym różni, w różnych okolicznościach: i na przedstawieniach galowych oper czy baletów rosyjskich, czeskich, japońskich, hinduskich, szweckich — na wystawie polskiej sztuki ludowej „Tow. Przyj. Polski" i t. d.

Widocznie w Warszawie nie rozumiano, że pokazanie tego rodzaju oryginalnej sztuki polskiej stanowi pierwszorzędną i cenną propagandę. Lub może poprostu nie znajdowano funduszów na ten cel, nie miano serca „ryzykować"?... Dowiadujemy się bowiem, że trupa Parnella, którą tak gorąco oklaskuje obecnie Paryż, otrzymała wprawdzie zasiłek rządowy, lecz zaledwie w sumie... 1.000 złotych, co miało znaczenie raczej moralne dla grupy czternastoosobowej, udającej się na podbój Europy... Pytamy więc Parnella:

— Jaka suma była niezbędna do sfinansowania tej wyprawy?

— 60.000 złotych! Udało mi się jednak tę sumę uzyskać. W przeciwnym razie w dalszym ciągu balet polski pozostałby nieznanym w Europie... Uważałem, że dalej czekać nie można! Jestem młody, za lat parę może nie starczyłoby mi już sił na taką włóczęgę...

W ten sposób balet polski da się poznać w świecie dzięki inicjatywie obywatelskiej, i to zasługuje na podkreślenie jako przykład do naśladowania i w innych dziedzinach, w których czeka się na subwencje rządowe...

Podkreślić jednak również należy, że jeśli udało się te występy zorganizować w sposób odpowiedni, to dzięki najpopularniejszemu i najbardziej poważanemu dziś baletmistrzowi, który bawił niedawno w Polsce. Zgadujecie: mam na myśli Serge'a Lifara. Jego zachwyt dla polskiego materjału baletowego był tak wielki, że opuszczając Warszawę, mimo pewnych przykrości, rzekł:

— Obiecuję wam, że najdalej za dwa tygodnie otrzymacie odemnie wiadomość!

Upłynęło istotnie czasu bardzo niewiele od tej chwili, a zdołano już nietylko przeprowadzić korespondencję, ale i ustalić terminy, i zorganizować wszystko technicznie. Postanowiono więc, że w Paryżu odbędą się 4 galowe przedstawienia tańców polskich w „Operze Komicznej". Piszemy pod wrażeniem pierwszego z tych wieczorów. Odbył się on dla zasilenia funduszów „Societe de secours des Amis des Sciences" i z okazji 25-lecia „Societe Francaise Radio Electrique". Przewodnictwo objął osobiście pan prezydent Republiki. Program składał się z trzech części: z operetki francuskiej, z baletu Lifara pt.: „Jezioro łabędzie", wreszcie, w części 3-ciej i ostatniej, a najbardziej zaszczytnej, baletu polskiego. Wystawiono pod kierunkiem Parnella: „Lajkonika", „Umarł Maciek", „Dożynki", „Mazurek" Chopina i „Chłopskie zaloty". Główne role: Zizi Halama i Parnell wraz z swym zespołem.

Orkiestrą dyrygował szef orkiestry Opery warszawskiej, Jerzy Sillich.

Sukces był tak wielki, że pan prezydent Republiki pozostał w swej loży aż do końca, mimo, że wobec entuzjazmu sali podnoszono kurtynę trzy razy i w ten sposób, przedstawienie przeciągnęło się poza północ (prezydent Lebrun zwykle znika przed godz. dwunastą w nocy!). — Sala była wyprzedana na kilka dni wcześniej aż do ostatniego miejsca, nie rozdawano żadnych kart ulgowych czy bezpłatnych.

Należy nadmienić jeszcze, że dekoracje projektowali Galewski i Jewniewiczowa, zaś kostjumy: Topolski, Pronaszko i Galewska. Dekoracje oklaskiwano przy pustej scenie, przed rozpoczęciem występu! Szczegół bardzo charakterystyczny! Entuzjazm ogarnął nietylko salę, ale i maszynistów, którzy też gorąco oklaskiwali za kulisami wykonawców, winszując sukcesu, jakiego dawno nie oglądali.

Pytamy naszych artystów o wrażenia. Parnell odpowiada:

— Po zapowiedzi i zachęcie Lifara liczyliśmy na sukces, lecz niemniej przeszedł on wszelkie oczekiwania!

— Plany?

— Więc 8-ego b. m. ponowne „Gala Polonais" pod przewodnictwem honorowem prezydenta Republiki i protektoratem ambasadorostwa Chłapowskich, min. Lavala, księżnej de Luynes i hr. du Bourg de Bozas. Dochód i tym razem przeznaczono na cel dobroczynny francuskich towarzystw (opiekujących się zresztą także i setkami niemowląt i dzieci polskich). Również w „Operze Komicznej" odbędą się dwa dalsze wieczory galowe poświęcone już wyłącznie tańcom polskim: 12-ego i 17-ego b. m.; 10-ego jedziemy na dalsze występy do Szwajcarji; 1-ego maja tańczymy w Wintergarten w Berlinie... 1-ego czerwca — w Londynie... A potem chyba wrócimy na objazd Francji...

Fren.

Zizi Halama i F. Parnell.



KSIĄŻĘ z „trente-et-quarante"

Powieść Williama J. Makina. — Tłumaczenie autoryzowane Jana Maleszewskiego.

ILUSTROWAŁ J. M. BRZESKI

— Uważamy w Scotland Yardzie, że większość tych spraw, to zwykła „chronique scandaleuse" — ciągnął dalej detektyw z widoczną przykrością — i dopóki Wasza Wysokość nie naruszy ustaw naszego kraju, nas to nic nie obchodzi.

— Dziekuję panu — odpowiedział sucho Chesham.

— Ale tu wchodzi w grę żona Waszej Wysokości — powiedział Evans.

Na chwile Chesham został wytrącony z równowagi.

— Przepraszam — żachnął się Chesham.

— Żona Waszej Wysokości — ciągnął dalej bezlitośnie detektyw — zgłosiła się w nocy do Scotland Yardu. Sam z nią rozmawiałem.

— I... i co powiedziała — zapytał Chesham, chcąc zyskać na czasie, by zorjentować się w tym niezwykłym rozwoju wypadków.

— Dowiedziałem się zupełnie przypadkowo o zamachu na Waszą Wysokość w Bandonie. Powiedziała, iż nie wiedziała, że Wasza Wysokość przebywa w Londynie, bo nie słyszała nic o Waszej Wysokości w chwili, kiedy Wasza Wysokość opuściła ją przed sześciu miesiącami. Prosiła nas o podanie adresu.

Detektyw znacząco przerwał swe opowiadanie.

— I co dalej... — zachęcał detektywa podniecony Chesham.

— To nie jest naturalnie naszem zadaniem, by udzielać informacyj pytającym się kobietom — mówił detektyw obojętnym tonem. Powiedzieliśmy jej, że na wypadek, gdy będziemy mieć jakąkolwiek informację, zawiadomimy ją.

— Dziękuję — wykrztusił Chesham.

— Ale wizyta żony Waszej Wysokości — mówił w dalszym ciągu detektyw — nasunęła nam inne możliwe i niezupełnie nieprawdopodobne wytłumaczenie podłoża zamachu z ostatniego wieczoru.

— Chętnie usłyszałbym to wytłumaczenie — powiedział Chesham.

— Ponieważ Wasza Wysokość była na dancingu z damą, ponieważ Wasza Wysokość miała różne sprawy z paniami tak tutaj, jak i na kontynencie, przepraszam, że jestem tak niedelikatny — ale czy ten kelner nie mógł mieć powodu do zemsty za zniewagę, uczynioną jakiejś kobiecie?

Chesham zaśmiał się, ale jego śmiech był fałszywy.

— Teorja ta jest całkiem możliwa, panie inspektorze — odpowiedział — ale w tym wypadku zupełnie nie na miejscu. Moje sprawy miłosne, aczkolwiek są powszechnie znane, jak pan mówi (detektyw Evans tutaj zaczerwienił się), dotyczyły zawsze pań, które nie mają... hm, hm.... tej właściwości, iż są pochodzenia korawjańskiego, a kelner, przypuszczalny zamachowiec jest Korawjańczykiem, jak pan mi sam powiedział.

Detektyw pocierał swą brodę.

— Tak, to jest prawdziwe. Nie myślałem o tem. A naturalnie żona Waszej Wysokości jest Angielką.

— Niech będzie nawet djabłem — mruknął Chesham sam do siebie.

— Wobec tego myślę, że możemy przyjąć teorję, iż zbrodnia miała podłoże polityczne — powiedział detektyw.

— Byłbym zobowiązany, gdyby pan ją przyjął — nalegał Chesham.

— Wiemy — mówił detektyw — że Wasza Wysokość jest naturalnym pretendentem do tronu Korawji. Słyszeliśmy także, że kraj Waszej Wysokości znajduje się w stanie wrzenia. — Wobec zamachu, który wydarzył się ostatniego wieczora, pozwoliliśmy sobie wyznaczyć dwóch ludzi celem strzeżenia Waszej Wysokości.

— Dwóch ludzi dla mojej osłony? — powtórzył zdumiony Chesham.

Detektyw wzruszył ramionami.

— Oni nie będą bynajmniej natrętni — powiedział. — Jest to rodzaj roboty policyjnej, co do której wydział specjalny ma wielkie doświadczenie. Muszę prosić, by Wasza Wysokość nie usiłowała im się wymknąć.

Inspektor Evans mówił obecnie z wielką pewnością siebie. Chesham spoglądał na niego uważnie.

— Dziękuję za proponowaną mi osłonę — powiedział — ale uważam rzeczywiście, że to jest całkiem niepotrzebne.

— Niemniej jednak — wtrącił detektyw spokojnie — musimy przy tem obstawać. Wasza Wysokość musi wiedzieć, że ministerstwo spraw zagranicznych nie jest pozbawione informacyj, iż w naszym kraju organizuje się spisek rojalistyczny, mający na celu obalenie obecnego ustroju Korawji.

— To jest najbardziej emocjonująca i interesująca wiadomość — zauważył Chesham łagodnie. Detektyw nie zwracał uwagę na ironję.

— Wiemy, że kilku znanych rojalistów z Korawji przebywało w Londynie w ostatni wieczór — rzekł. — Dwóch wystartowało dzisiaj rano z Croydon na prywatnych samolotach. Czy Wasza Wysokość spotkała tych panów, czy też nie — ironja dała się zauważyć w jego głosie — my jednak wiemy, że pani, z którą pan tańczył w „Bandonie" krytycznego wieczoru, spędziła ostatnio tydzień w Korawji.

— Zaczynam mieć głębokie poważanie dla Scotland Yardu — wtrącił Chesham.

— W tych okolicznościach prosił mnie główny komisarz, by poinformować Waszą Wysokość, iż rząd nasz nie pozwoli na to, aby zagraniczne ruchy rewolucyjne organizowano w naszym kraju. Gdyby zrodziły się jakiekolwiek konkretne podejrzenia, że Wasza Wysokość jest wmieszany w spisek, mający na celu przewrót w Korawji, musielibyśmy wkroczyć i Waszej Wysokości groziłoby wydalenie z granic naszego państwa.

Przez kilka chwil zapanowało milczenie. Chesham wyglądał nieco zmieszany, detektyw zaś był zupełnie spokojny. Spełnił swoje polecenie i zawiadomił o zamiarach swej władzy. Jego drobna, ruchliwa postać zdawała się wyrażać demokratyczną pogardę dla tego środkowo europejskiego królewiątka.

— Sądzę, że zrozumieliśmy się nawzajem — powiedział po chwili Chesham. — Czy to wszystko?

— Tak jest.

— Więc mogę się z panem pożegnać.

Chesham zadzwonił W drzwiach ukazał się poważny Scraggs. Detektyw Evans rzucił krótki, przenikliwy wzrok na służącego. Scraggs wytrzymał spokojnie ten badawczy wzrok bez zmrużenia okiem.

— Proszę tędy — powiedział do detektywa.

Gdy Chesham został sam, zapalił papierosa, rozmyślając nad rozwojem wypadków. Sprawa wikłała się coraz bardziej. Najwidoczniej zmarły, którego znaleziono na bulwarach miał żonę, która obecnie wszczynała poszukiwania za nim. Żona! To już skomplikuje spra-



A teraz pójdziemy zobaczyć tulipany — rzekła...

wę w zupełności! Musi rozmówić się z Szefem. Taka myśl nagle nasunęła się Cheshamowi. Gdzie był właściwie Marek Mann?

Jakgdyby w odpowiedzi na jego myśl rozległ się w luksusowym apartamencie głos:

— Doskonale, kochany Cheshamie, zupełnie doskonale.

Był to głos Szefa, ale Chesham był sam w pokoju. Popatrzył na drzwi. Drzwi były zamknięte.

— Mówię z mojego pokoju — dał się znowu słyszeć głos Szefa. — Ponieważ gnębi mnie artretyzm, uważam, że używanie mikrofonu w tym domu jest prawdziwą koniecznością. Jeżeli pan zbliży się do biurka przy ścianie, przejedzie się ręką po powierzchni i podniesie to, co wygląda na listwę, znajdzie pan mikrofon połączony z moim pokojem.

Chesham uczynił tak, jak mu nakazał głos. Kilka kroków, jeden ruch ręką i mikrofon zjawił się na biurku.

— A więc pan słyszał każde słowo mojej rozmowy — powiedział Chesham do mikrofonu.

Potakujący śmiech był odpowiedzią.

— Każde słowo. I naprawdę muszę panu zrobić komplement co do sposobu, jakim pan wywinął się, nie wydając niczego detektywowi.

— Przecież ja nic nie mogłem jemu powiedzieć — odparł Chesham.

— O tak, mógł pan — śmiał się Szef. Pan mógł mu powiedzieć, że my oszukujemy, że prawdziwy Sergjusz nie żyje, że leży niezidentyfikowany w kostnicy, a że pan jest tylko Arturem Cheshamem, młodym człowiekiem, który odgrywa rolę na mój rozkaz.

— A przypuśćmy, żebym tak postąpił — zapytał Chesham.

— Byłbym rozczarowany, głęboko rozczarowany — brzmiała odpowiedź. Naumyślnie pozostawiłem pana samego sobie, ponieważ przeczuwałem, że pan nam pomoże. Obecnie pan jest naprawdę jednym z piratów z Picadilly. Jest dla mnie prawdziwą przyjemnością, że mogę pana o tym wyborze zawiadomić. Nie będzie pan miał we mnie srogiego nauczyciela.

— Równocześnie jednak — przerwał Chesham — nie odczuwam szczególnego pragnienia, by mnie zamordowano, co zdaje się być pewnem następstwem, jeżeli dalej będę grał rolę księcia Sergjusza.

— Dwóch ludzi z Scotland Yardu wyznaczono specjalnie do tego, by pana ochronić — śmiał się głos do mikrofonu.

— Tak, ale pozatem jest kobieta, o której mówią, iż jest moją żoną — przypomniał sobie nagle Chesham. Co będzie z nią?

— To przyznaję było dla mnie zupełną nowością — mruknął Marek Mann. — Musimy znaleźć tę kobietę. Trzeba ją będzie uspokoić. Może pan chce się z nią spotkać?

Chesham żywo zaprzeczył:

— To nie jest bynajmniej moim zamiarem.

— Ale zaniepokojona kobieta jest bardzo niebezpieczna.

— Może. Ale ja już wolę ewentualnego mordercę.

Znowu dał się słyszeć przyciszony śmiech i Marek Mann mówił dalej:

— Córka moja zrobiła propozycję, by pan odbył z nią wspólną przejażdżkę konną w Hyde Parku. Przypuszczam, że pan jeździ konno?

— Naturalnie — odparł Chesham zadowolony.

— Wobec tego poślę panu zaraz ubranie do konnej jazdy. Przypominam sobie, że miałem udać się na miasto, by wybrać krawatki. Pozwolę sobie także przysłać panu krawca. Będąc księciem Sergjuszem, powinien pan mieć nieco bogatszą garderobę niż obecnie, jak przypuszczam. Możemy sobie nawet na trochę luksusu pozwolić.

— Spodziewam się tylko, że wartość kopalni radu opłaci pańską grę — śmiał się Chesham.

— Sądzę że tak — odpowiedział głos. — A teraz wybieram się do miasta i mam nadzieję, że będzie pan miał miły spacer.

Mikrofony przestały działać. Jednym ruchem ręki Chesham schował je spowrotem do biurka.

ROZDZIAŁ XIII.

Porwanie Heleny.

Lekki podmuch wiatru bawił się jej włosami. Siwe oczy błyszczały z zadowolenia. Siedząc prosto w siodle, głaszcząc od czasu do czasu szyję konia, Helena wyglądała porywająco pięknie.

Artur Chesham nie usiłował nawet taić swego zachwytu.

— Piękny poranek mamy dzisiaj — powiedziała Helena.

— Wspaniały dzień — odpowiedział Chesham, popędzając swego konia, który szedł niespokojnie. Już jest prawie południe i jeszcze nikt nie próbował zamordować mnie. — dodał z rozbawionym uśmiechem.

Helena zaśmiała się serdecznie i rzuciła mu wesołe spojrzenie.

— Pomimo to pilnują nas — powiedziała. Widziałam dwóch mężczyzn, każdy na końcu alei, przez którą jedziemy, którzy patrzą na nas za każdym razem, gdy ich mijamy.

— To są panowie ze Scotland Yardu — objaśnił Chesham. — Wysłano ich, by ochraniali Jego Wysokość księcia Korawji, Sergjusza. Nie wolno mi obecnie ruszać się po Londynie bez gwardji przybocznej.

— Czy to takie niewygodne? — zapytała.

— Bardzo — odpowiedział, patrząc się w jej oczy.

Policjant na białym koniu „niewinnie" jechał za nimi.

— Męczy mnie to wszystko — powiedział nagle Chesham. Oddajmy konie pod opiekę stajennego i przejdźmy się po parku.

— Dobrze — zgodziła się. Zrobimy wyścig do końca alei.

Koń poczuwszy silne dotknięcie jej ostróg przeszedł wkrótce z truchcika w pełny galop. W kilka minut też Helena zostawiła swego partnera grubo za sobą. Lecz i on dał wtedy ostrogę swemu koniowi i zaczął ścigać się z piękną amazonką. Wkrótce galopowali szosą, a za nimi w pewnem oddaleniu jechał konny policjant.

Wolno spacerujący, dobrze ubrany tłum, który zjawia się na drogach Rotten Row stawał się mniej gęsty. Liczne dzieci, niańki w swoich charakterystycznych strojach, żołnierze w czerwonych mundurach, jakoteż elegancko ubrane kobiety i mężczyźni tworzyli wraz ze wspaniałym porankiem wiosennym idealny niemal obraz świętującego Londynu. Chesham widział to jednak jedynie kącikiem oka, gdyż, siedząc mocno w swem siodle, poganiał swego konia i starał się dopędzić Helenę.

Unosiła się ona na swoim koniu, jak to czynią pewne siebie i zżyte ze zwierzęciem amazonki. Jechała prędko i z wielkim wdziękiem. Chesham dumny był ze swego sposobu jeżdżenia konno. Miał nadzieję, że ta poranna wycieczka podniesie go w oczach Heleny jako coś więcej, niż poprostu przejście przez życie. Dotychczas miał on wrażenie, że Helena śmieje się z niego. Zresztą na to wskazywała okoliczność, że ciągle wyprzedzała go.

Na końcu szosy przyspieszył biegu, znajdując się jedynie jakieś dziesięć yardów za nią. Tymczasem Helena zsiadła z konia i oddając lejce pokrytego pianą zwierzęcia groomowi, czekała na swego towarzysza.

— A teraz pójdziemy zobaczyć tulipany — rzekła. Są one jednak najpiękniejszą rzeczą w Hyde Parku. Dziwnie silne robią na mnie wrażenie.

Chesham się zaśmiał.

— Znajduje pani zapewne, że życie jest bardzo piękne — rzekł.

Spojrzała na niego spod dżokejki.

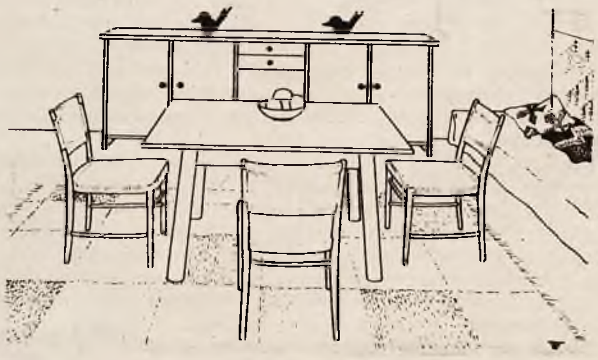
— Dlaczego pan tak sądzi?

Ciąg dalszy nastąpi).



PANI
I JEJ RODZINA

PRZYJĘCIE DLA DZIECI



Wnętrze nowoczesnego pokoju dziecinnego.

Tak modne dzisiaj przyjęcia dla dzieci, działają wychowawczo bardzo korzystnie. Dzieci, oczywiście pod dozorem starszych, uczą się przedewszystkiem podporządkowywania swej małej tak „ważnej" i skłonnej do egoizmu osóbki, uczą się gładkiego obejścia i towarzyskości en miniature.

Podając kilka przepisów na smakołyki dla dzieci, kierujemy się unikaniem wszelkiej wystawności i zbytku, mając więcej na względzie estetyczny wygląd, pożywność i smak dania.

Mleczko kawowe. 3/4 litra mleka zagotować, zasypać 1 dkg. mielonej kawy i przecedzić. 6 całych jaj i 10 dkg. cukru ubija się doskonale i zalewa, ubijając dalej, gorącą kawą. Płyn nalać do małych filiżaneczek, które się ustawia w dużym rondlu, nalewa gorącej wody do połowy wysokości filiżanek i wstawia przykryte do piecyka. Po pół godzinie powinno się ściąć. Zastudzone wyrzuca się na płaskie kieliszki i przykrywa słodką bitą śmietanką.

Suflet karmelowy. 2 łyżki cukru kryształowego zrumienić na patelni (uważać, aby się nie spalił), zalać 2 łyżkami zimnej wody, mięszając **drewnianą łyżką,** aż się zupełnie rozpuści. 5 żółtek uciera się do białości z 15 dkg. cukru, rozprowadza pół litrem mleka, dodaje karmel ugotowany i stawia na ogniu, uważając, aby dobrze zgęstniało i aby nie zaczęło się gotować. Do gorącego wmięszać pianę ubitą z pozostałych 5 białek, ułożyć w kształt kopułki na ogniotrwałym półmisku, zapiec w piecu, i szybko podać.

Koszyczki z pomarańczy. Obrać pomarańczę w ten sposób, aby się utworzył z niej koszyczek. Wyjęty miąższ bez soku miesza się z cukrem, garstką tłuczonych orzechów włoskich, kawałkiem ananasa pokrajanym w kostki lub w braku ananasa smażonemi wiśniami, napełnia koszyczki pomarańczy, zalewa żelatyną rozpuszczoną w ogrzanym soku pomarańczy (1 płytka żelatyny na 1 pomarańczę), zastudza i układa na półmisku, ubierając zielonemi gałązkami.

Lody dziecięce. Gotuje się 6 dkg. grysiku w pół litrze wody, w którym rozpuszczono 18 dkg. cukru. Gotujemy 8 minut, pilnie mięszając. Następnie wykłada się na talerz, wciska sok z połówki dużej cytryny i uciera pół godziny, tj. tak długo, aż masa całkiem zbieleje, wtedy dzieli się ją na 2 lub 3 części i zabarwia każdą innym kolorem: bretonem różowym, czekoladą na ciemno, trzecią zostawiając białą. Po zastudzeniu na lodzie, podaje się w płaskich kieliszkach.

Sc. Ko.



PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka, obliczone na 3—4 osoby.

PASZTECIKI KRUCHE. 10 dkg masła, 10 dkg tartych ziemniaków z poprzedniego dnia i 10 dkg mąki, wymięszanej z małą łyżeczką proszku do pieczywa, zagnieść szybko na ciasto, wywałkować, krajać w małe kwadraty, w które zawija się połówkę kiełbasek, tworząc rulonik z obu stron otwarty. Piec w gorącej rurze i podawać otoczone zieloną pietruszką.

TORT „MURZYN". 28 dkg cukru ucierać z 8 żółtkami przez 20 minut, potem dodawać pianę z 8 białek i 24 dkg mąki po łyżce naprzemian. Masę dzieli się na dwie części i piecze z niej w okrągłej formie (może być kociołek do bicia piany) dwie półkule. Ostudzone, wydrąża się z szerszej strony i napełnia jedną z nich bitą śmietaną, drugą zaś oblewa się gęstą polewą czekoladową; po ostudzeniu przykrywa się napełnioną z czubem część dolną. **Polewa czekoladowa:** do 8 dkg rozmiękczonej w cieple czekolady dolewa się po troszce, wśród ciągłego ucierania gęsty syrop, ugotowany z 8 dkg cukru i 4 łyżek wody. Wkońcu dodaje się łyżeczkę masła deserowego. Polewać póki ciepłe, nie dotykając, aby polewa była gładka.

SZYNKA CIELĘCA. 2—3-kilogramowy dyszek cielęcy (t. zw. piętkę) obciąga się z błon, nie luzując z kości i szpikuje się gęsto młodą słoniną. Szpiczastym nożem lub specjalnym przyrządem (vide fot. obok) robi się w mięsie kilka wąskich a głębokich otworów, które się nakłada mięszaniną z usiekanej drobno cebuli, tymianku i majeranku, z dodatkiem soli i pieprzu. Tak przygotowane zaraz rano mięso, po parugodzinnem odleżeniu, nakłada się na rożen, umieszczony nad brytwanną, polewa suto masłem i piecze 2—3 godzin przy częstem polewaniu na dobrym ogniu. Gotową pieczeń przestudza się trochę, następnie kraje w plastry, które się ponownie składa w pierwotną formę przy kości, ubranej w manszet z papieru. Sos z pod pieczeni podaje się osobno w sosjerce. W braku rożna, upiec można pieczeń na brytwannie. W tym wypadku nie należy dawać korzeni do szpikowania.

TORT SEROWY. 1 kg dobrego sera przetrzeć przez sito lub zemleć dwa razy. Osobno uciera się 35 dkg masła z 8 żółtkami i 50 dkg cukru z wanilją, dodaje ser zmielony, 4 łyżki grysiku, 5 dkg rodzynek, 5 dkg skórek pomarańczowych, 5 dkg migdałów, w tem 6 sztuk gorzkich, wkońcu pianę z pozostałych białek. Tortownica dokładnie wysmarowana masłem i wysypana bułką. Piec w miernym piecu trzy kwadranse. Wyjmować po zupełnem ostudzeniu, bo się rozleci!

BUDYŃ Z CZERSTWYCH CIAST. Resztki drożdżowych 25—30 dkg ciast świątecznych skropić mlekiem, tak, aby się dały rozetrzeć i były tylko wilgotne. Osobno utrzeć 3 żółtka z łyżką masła i 10 dkg cukru, wymięszać z roztartem ciastem, dodać pianę z 3—4 białek i 4 pełne łyżki tartej bułki (masa musi być wolna). Formę budyniową natartą masłem i wysypaną cukrem grysikowym, nakłada się masą, ułożywszy poprzednio na spodzie formy skórki pomarańczowe w kształcie gwiazdy lub tp. Budyń gotuje się na parze godzinę. Osobno podaje się chaudeau z wina lub ponczu.

CHAUDEAU PONCZOWE. Pół litra wina do połowy z wodą, sok z połówki cytryny i całej pomarańczy zagotować. 12 dkg cukru w kostkach otartych o skórkę z pomarańczy i cytryny, utłuc miałko i ubić z trzema żółtkami do białości, zalać przestudzonem winem i ubijać potem na ogniu miotełką, aż się utworzy gęsta piana, wtedy domięszać kieliszek dobrego rumu. Podaje się na gorąco lub zimno.

PASZTET Z SZYNKI. Z 30 dkg mąki, 2 jaj i troszki wody zagnieść ciasto jak na makaron, wywałkować i pokrajać na szerokie a krótkie paski, ugotować w słonej wodzie, odcedzić i przelać zimną wodą. Małą szklankę śmietany rozkłucić z dwoma jajami, 25 dkg szynki drobno pokrajać. Zrobić kilka naleśników, dać jeden na spód formy, potem przekładać warstwami szynkę i makaron, polewając śmietaną, przykryć naleśnikiem, skropić masłem i wypiec na rumiano.

Sc. Ko.

PRZYRZĄD DO SZPIKOWANIA MIĘSA.



Szpikowanie mięsa z pomocą nowego przyrządu, jaki widzimy na załączonem zdjęciu, jest bardzo łatwe i znacznie korzystniejsze od dawnego systemu.

Wydrążony wewnątrz, ostry, okrągły nóż, nietylko przecina tkankę mięsną, ale ją drąży, pozostawiając miejsce na naszpikowanie pieczeni słoninką lub przygotowanie jej do marynowania, czy też pieczenia na rożnie, przez napełnienie otworów korzeniami, cebulką itd.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI.

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone

Święta rzym.-kat. i żyd.	Tydzień 17 — KWIECIEŃ — Dni 30
Niedziela **21** Wielkanoc 18 Nisan	Barszcz zabielany z twardemi jajami. Paszteciki z kiełbasek w kruchem cieście. Indyk nadziewany kasztanami. Sałata majonezowa-kompot. Tort "murzyn" z bitą śmietaną. Kolacja: Indyk na zimno z brusznicami.
Poniedziałek **22** Poniedziałek W. 19 Nisan	Rosół lub krupnik z podróbek. Móżdżki w muszelkach. Szynka cielęca z zieloną sałatą. Tort serowy. Kolacja: Prosię pieczone lub wędliny z sałatą - ciasta.
Wtorek **23** Wojciecha bisk. 20 Nisan	Zupa rumiana "Julienne". Kapusta faszerowana szynką. Sztuka mięsa z sosem szczypiórkowym. Torty i ciasta świąteczne. Kolacja: Kiełbasa z jajecznicą.
Środa **24** Jerzego, Fidelisa 21 N. 7-e S. Pas.	Zupa szczawiowa z jajami. Zrazy siekane z grzybkami. Paprykarz cielęcy z ryżem. Budyń z czerstwych ciast. Kolacja: Płatki z szynką.
Czwartek **25** Marka ew. 22 N. Koń. S. Pas.	Zupa fasolkowa przecierana. Budyń z wątróbki. Polędwica wołowa po angielsku z opiekanemi ziemniaczkami. Mleczko waniljowe. Kolacja: Parówki z chrzanem.
Piątek **26** Kleta, Bazylego 23 Nisan	Pomidorówka z ryżem. Soczewica z sadzonemi jajami. Karp smażony z sałatą. Omlety z konfiturą. Kolacja: Tatarczana kasza - kefir.
Sobota **27** Zyty, Peregryna 24 Nisan	Rosół z kaszką. Sztuka mięsa z chrzanem. Pasztet z szynki. Jabłka w cieście. Kolacja: Płucka cielęce w sosie.



Piękność jest obowiązkiem...



W nowoczesnym instytucie piękności...

Belle — tu dois!

„Musisz być piękną" — powiada stare przysłowie francuskie. I od najdawniejszych wieków ludzkość dąży do piękności. Pojęcia o niej zmieniają się, coprawda, w różnych stuleciach i pod różnemi stopniami szerokości geograficznej, ale zawsze jest jakiś ideał piękności, odpowiedni do kraju, rasy, indywidualności i środowiska. Zawsze też i wszędzie istniała sztuka upiększania, czyli kosmetyka.

„Brzydota jest cierpieniem, trwającem całe życie" — pisz Balzac. Określenie to jest słuszne nietylko z tego powodu, że na ciele pojawiają się szpetne zniekształcenia, ale przedewszystkiem dlatego, że świadomość szpetoty, niemiłej dla otoczenia, powoduje stan stałego przygnębienia psychicznego. Osoba „chora na brzydotę", traci pewność siebie, bo przeżywa wiele upokorzeń, a więc i cichych dramatów, co obniża jej szanse życiowe.

Dzisiaj, gdy czasy, jakie przeżywamy, zmuszają kobietę zarówno jak mężczyznę do wytężonej walki o byt, do pracy zawodowej i starania się o nią, wygląd zewnętrzny jest rzeczą bardzo ważną. Napewno z kilkunastu czy kilkudziesięciu kandydatek na posadę, pierwszeństwo otrzyma osoba, prezentująca się dobrze, normalnie zbudowana, z czystą cerą, starannie uczesana, o młodzieńczym wyglądzie.

Można nie być piękną — ale nie wolno być brzydką! Można przekroczyć wiosnę życia — ale nie wolno pozwolić sobie na starzenie się. Nie wolno zaniedbywać się! Bo walka o życie jest bezwzględna! Do walki tej każda z nas musi stanąć uzbrojona w estetyczny wygląd. *Belle tu dois!*

O urodzie w dzisiejszych czasach nie decydują — na szczęście — regularne, klasyczne rysy twarzy i piękne oczy, ale wdzięk i charakter typu, będący wyrazem wszystkich cech duchowych i fizycznych człowieka. — Przez podkreślenie niektórych cech indywidualnych, dodatnich, a dyskretne zatuszowane ujemnych, osoba pozornie nieładna, staje się ciekawą, interesującą, pociągająca, czarującą nawet. Może dlatego często kobiety „brzydkie", cieszą się ogromnem powodzeniem.

Pomocą i sprzymierzeńcem kobiety w trosce o zachowanie młodości i urody, jest higjena oraz kosmetyka. Bo uroda jest skarbem, który należy stale i umiejętnie pielęgnować. Życie jest ciągłem zmaganiem się, wyczerpującą walką, atakującą ze wszystkich stron młodość i wygląd zewnętrzny. — Trzeba więc wciąż naprawiać szczerby i zniszczenia, by ustrzec się przed ruiną. Na nic tu się nie przydadzą dawne „sekrety prababek", „cudowne maście i pomady", tajemnicze okłady z ropuch, zabijanych na nowiu i t. p. przepisy z gotowalni dawnych piękności. Dochodzimy dziś do przekonania, że najpiękniejsze kobiety starożytności były... dziobate, bo chorowały na ospę, a nie znano wówczas terapji, dobroczynnych promieni czerwonych.

Dzisiejsza kosmetyka jest wiedzą poważną i opiera się na naukowych podstawach, idzie ręka w rękę z hygjeną i chirurgją, przez co daje niezawodne sposoby utrzymania młodości, pozbycia się zmarszczek, defektów skóry, obwisłości i ciężaru nadmiernej tuszy, zachowania włosów, dążąc do zachowania jak najdłużej pełni młodości i urody.

W różnych czasach metody upiększania przechodziły różne koleje. Grecy — niedościgniony wciąż wzór harmonijnego piekna — na pierwszym planie stawiali gimnastykę, masaże i kąpiele, do których to zasad powraca dzisiejsza kosmetyka, dodając jeszcze najnowsze zdobycze wiedzy lekarskiej.

Aby więc wyjść zwycięsko z walki życiowej — wygrać bitwę o byt — każda kobieta — zarówno jak mężczyzna — bez względu na wiek i modę, powinni dbać o miły i estetyczny wygląd zewnętrzny i przeznaczyć minimalną ilość czasu na podtrzymanie młodości i urody. Korzystajmy z dokonanych zdobyczy i pamiętajmy, że

W młodem ciele — młody duch!

Ina.

rehabilitacja
A N I O Ł A

— Pani jesteś aniołem! — wołał zakochany młodzieniec późnoromantycznej epoki do damy swego serca. Ten wykrzyknik był brany za dobrą monetę. Niedość na tem: dopóki owo pełne zachwytu wołanie nie wydarło mu się z wezbranej piersi, jego zaloty nie były traktowane na serjo. Aniołem, jak stemplem pocztowym, przypieczętować musiał solidność swoich zamiarów. Inaczej jego miłosną epistołę odrzucało się, jak list nieofrankowany.

Ta rzekoma anielskość czepiła się kobiety, „jak rzep psiego ogona" (powiedziałby nieboszczyk Zagłoba). „Duszą, aniołom podobną, urodą anielską, głosem anielskim, twarzyczką anioła, częstowano biednego mężczyznę aż do mdłości. Ale mężczyzna to wytrzymałe „zwierzę". Strawił tych wszystkich aniołów bezkarnie, a jeśli dostawał kataru żołądka, to zwykle po „przeglądzie tygodniowym" w bigosie, lub sałatce majonezowej, któremi faszerowano go gorliwie na narzeczeńskich kolacjach.

Wreszcie razem z trenem odpadła od kobiety i anielskość. Wypłoszyła ją ostatecznie wojna. Jeżeli jakaś kobieta miała złudzenia, że na anioła pasuje ją czepeczek i fartuch sanitarjuszki, to pierwszy dyżur szpitalny ściągnął ją brutalnie na ziemię. Trzeba tam było być przedewszystkiem człowiekiem i to człowiekiem wytrzymałym, dzielnym, bez nerwów.

Nigdy nie zapomnę tej chwili, kiedy w starym kościele zakopiańskim, ksiądz objaśniając góralom podczas kazania istotę anielstwa, rzekł:

— Na głos anioła uciekają wszystkie narody!

Doskonale! — pomyślałam sobie. — Niech teraz jakiś niewczesny zalotnik zwróci się do mnie ze słowami: — Pani jest aniołem, — powołam się na opinję kaznodziei i wyrzucę go (to jest zalotnika nie kaznodzieję) za drzwi.

Byłam wówczas bardzo młoda i niedoświadczona. Przekonałam się rychło, że anioł przestał być atutem w grze miłosnej i definitywnie poszedł na emeryturę. Tymczasem niedawno przekonałam się, że został znowu powołany do służby czynnej. Gdzie? Na pokazie mód.



Toaleta wieczorowa w kwiatowy deseń z nowego rodzaju płaszczem, złączonym na ramionach z suknią.



Pęk róż przy gorsie to wielka nowość sezonu wiosennego (Worth).

Bowiem tegoroczna moda wiosenna uparła się uskrzydlić kobietę. Na pierwszy ogień poszły kapelusze. Każdy siedzi na głowie, nie, na boku główki, jak ptak, który za chwilę zerwie się do lotu. Rozmaite figlasy ze wstążek, słomy i rafji imitują piórka, skrzydełka, wąsiki i trąbki owadzie. Na szczęście nie widzimy na kapeluszach ani prawdziwych piór, ani skrzydeł, ani całych tułowi ptasich. Tegoroczna moda nie jest okrutna. Kapelusz kapeluszem, a ptaki ptakami. Ileś tam słowików polskich w klatkach wywieziono podobno do Austrji, ale to nie nasz bussiness. Pewno to jest handel kompensacyjny za modne namiastki ptasie, które przychodzą do nas z zagranicy.

Przejdźmy do kostjumów i sukien letnich. Króluje tutaj motyl we wszelkich postaciach. Jako kokarda taftowa, wypełniająca wycięcie okrycia lub kostjumu. Jako żabot — monstre przy sukni wizytowej, lub nawet wieczorowej. Jako szarfa, związana w pasie i fruwająca za powiewną tanecznicą.

No, dobrze, powiecie, ale motyl, to jeszcze nie anioł, choć ma skrzydła. Poczekajcie, zaraz zobaczycie i anioła. Oto wchodzi śliczna smukła modelka w białej sukni, od której ramion spływają dwie długie smugi miękkiej materji. Można ją sobie zarzucić na głowę, jak wschodnią zasłonę, albo udrapować naokoło całej postaci, jak indyjskie sari.

A oto inna suknia, z ponsowego szyfonu, za którą również powiewają dwa skrzydlate płaszcze. I czarna szyfonowa princessa, od góry obcisła, u dołu puszysta od misternych falbanek. Anioł nocy, czarny motyl, albo czarna dama — co wolicie.

Była jedna wieczorowa sukienka z różowej tafty, opadającej w sztywnych fałdach aż do samej ziemi, jak na średniowiecznych rzeźbach. Ale z ramion tej surowej sylwety wyrastały skrzydlate bufy.

Czasem anioł zmienia się w pielgrzyma. Przywdziewa wtedy poważną szatę z bronzowej szorstkiej wełny, takąż pelerynę i kapelusz. Ale dnie pokuty są rzadkie. Gdzie są anioły, ptaki i motyle, tam muszą być i kwiaty. Więc barwne butonjery przy okryciach i kostjumach, więc duże kwiaty pojedyncze, albo pęki drobniejszych przy sukniach wieczorowych. Dekoracyjnie wygląda jedna wielka lilja wodna u paska czarnej matowej sukni. Albo żywy storczyk w ciepłych tonach lila przy czarnej welurowej sukni.

No, i nareszcie! Kwiaty na materjałach letnich: kwiaty na krepdeszynie, kwiaty na szyfonie, kwiaty nawet na tafcie, na którą dotąd monopol miały kraty.



Suknia wieczorowa z moory przybrana modnie kwiatami.



Śmiała suknia wieczorowa z czarnej gazy na trykociku z pailletów.



Model odznaczający się prześlicznym materjałem i wytwornym krojem.

Uroczo wyglądała suknia wieczorowa z tafty w zielonkawo-złote stylizowane liście i kwiaty, które spływały ze smukłej postaci dziewczęcej, jak bajeczna roślinność wodna, przetykana słonecznemi plamami. I była jedna sukienka ze złocistego szyfonu, jakby utkana z samego słońca rozpalonego piasku i szafranowych płatków kwiecia. Pęk nasturcji u boku obiecywał bliskie lato.

Anioł, motyl, kwiat razem wzięte, to pokusa. Suknie tegoroczne, to zdradliwe kusicielki. Nietylko spowodu kosztu, ale i kroju. Z przodu skromnie sięgające pod szyję, nawet ramiona zakrywają draperją. Zato z tyłu dekolt do pasa, że bańki można stawiać. Przy skromnej, niemal dziewiczej sukience jakieś półrękawki, z drobno marszczonej gazy, wszyte w karczek. To wszystko tylko perwersja. Jednem wstrząśnięciem ramion zrzuca się to okrycie „z mgły i galarety". Pod spodem suknia bez ramiączek, sięgająca dosłownie do pach, jak skąpy kostjum kąpielowy.

Widziałam jedną suknię, czarną powłóczystą, która dosłownie wisiała na wąskiej, ponsowej aksamitce, obciągającej tors nad piersiami. Tak anioł nocy zmienił się w bachantkę.

Jesteśmy świadkami dziwnego przewartościowania wielu wartości. Pojęcie honoru, tak bardzo nadużywane w ostatnich czasach ustabilizowało się ostatecznie w dziedzinie mody. Nigdy bowiem tak wiele sukien jak obecnie, nie trzyma się „na słowo honoru".

STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW.

W POGONI ZA ★ DOBRYM KAWAŁEM.

PIĘĆ SPOTKAŃ Z „ASAMI" HUMORU.

Przy małym, ustronnym stoliczku kawiarni hotelu Europejskiego w Warszawie padło pewnego razu ciekawe wynurzenie:

— Czy pan wie, jak sobie wyobrażają moją osobę ludzie, znający mnie tylko z rysowanych przeze mnie rysunków i karykatur?

— Zapewne jako człowieka pełnego humoru, opromienionego wiecznym uśmiechem...

— Gdzietam! Zapewniam pana, że wszyscy uważają mnie za najwyższego gatunku szydercę, za kpiarza, który lekko zgarbiony biega ze zmrużonem lewem okiem z blokiem w ręku i rysuje złośliwe karykatury.

Spojrzałem na Czermańskiego. Wytworny, szczupły, młody człowiek ani nie zmrużył lewego oka, nie garbił się, a zamiast złośliwego ołówka trzymał poprostu... kieliszek dobrego wina.

— Widocznie — zauważyłem — nietylko: „Jak cię widzą — tak cię piszą", lecz i naodwrót: „Jak rysujesz — tak cię widzą". To samo jest niewątpliwie u aktorów, których publiczność wyobraża sobie wyłącznie takimi, jakimi są w swych rolach na scenie.

Przyszedł mi na myśl Marjusz Maszyński. Człek, który jednym swym głośnym uśmiechem wprawia całą widownię w beztroski błogostan humoru. Czy wyobrażamy go sobie inaczej, niż siedzącego na koniku z biegunami, jak to robił w „Doktór Julja Szabo", niż leżącego na otomanie z nogami wiszącymi u sufitu i wołającego do swej pokojówki: „Kawy, kawy, bo zamorduję!!" (rola w „Dwóch panach B")? A wszakże Maszyński, ten „w cywilu", nie ten Maszyński ze sceny, to człek spokojny i łabędziego wprost serca. W cichym domku na krańcach Warszawy oprawia pieczołowicie w złote ramki malowane przez siebie akwarele i uczy się na pamięć lirycznych wierszy Lenartowicza.

— ...podobnie więc w stosunku do pana — mówiłem do Czermańskiego — publiczność wie, że pan jest autorem niezliczonej ilości karykatur, że sława pańska sięga daleko poza granice kraju i to jej wystarcza. Ale zastanawiać się...





Na prawo: Karykaturzysta Z. Czermański w wyobraźni tych, którzy go nie widzieli — i w rzeczywistości. Fot. „As".



Świetny komik, Adolf Dymsza na scenie (na lewo) i jak go sobie ludzie przedstawiają w życiu codziennem (poniżej. Fot. „As".

— O właśnie! — podchwycił karykaturzysta — zastanowić się np. nad tem, jak ta karykatura powstaje! Czy pan wie, jakich sztuk trzeba dokonać, jak pozować samemu sobie przed lustrem, jak odgadywać, co się kryje pod retuszem podłej fotografji, jeśli się robi karykaturę osoby nieznanej, wyłącznie na podstawie materjału fotograficznego! Czy panu przyszło kiedy na myśl, że chcąc być karykaturzystą-satyrykiem, musi się być przedewszystkiem psychologiem, że nieraz w jednym rysunku zamieścić trzeba taką myśl, na rozwinięcie której polityk potrzebuje całego artykułu?

— A propos „dobry kawał" — podchwyciłem. Co to jest właściwie „dobry kawał"?

Czermański miał zamiar mrugnąć lewem okiem. Powstrzymał się jednak, zamyślił i rzekł:

— Opowiem panu dobry kawał. We Francji, czy gdzieś tam pokazywałem mój album „Marszałek Piłsudski w 13-tu karykaturach". Otóż po obejrzeniu albumu przeważnie mnie zapytywano: „Czy pan jest emigrantem politycznym? Za ten album wylali pana chyba z kraju!" A tymczasem tenże sam właśnie album zajmuje honorowe miejsce w muzeum... belwederskiem.

* * *

Wkrótce po tej rozmowie opętał mnie filozoficzno-ciekawski szał na temat „dobrego kawału". Postanowiłem wybadać ten problem do dna.

Jak powstaje „dobry kawał"?

Oto pytanie, jak gdyby zrodzone dla... Juljana Tuwima.

— Mistrzu! — Mówiłem do autora „Jarmarku Rymów". — Czyż nie znajdę u Pana odrobiny uśmiechu?

— Tu, u mnie? Trafił pan jak kula w płot.

— Okropne. Ja do pana po humor, a pan odgranicza się ode mnie płotem obojętności... Sądziłem, że u pana hucznie, wesoło...

— A ja tymczasem — mówi Tuwim — cichy, spokojny i zapracowany. Opracowuję obecnie Antologję fraszki polskiej za cztery ubiegłe stulecia. Czy pan sądzi, że to dzieło, obejmujące 200 autorów, do którego przedmowę pisze profesor Brückner, nie wymaga skupienia, ciszy i pracy, i jeszcze raz pracy?

— Ale przecież pisze pan tyle wesołych rzeczy — przerywam.

— Ach, piszę, owszem. Piszę, bo humor przychodzi jakoś sam, bo z tego poprostu... są pieniądze.

— Jestem niepocieszony... — szepcę. Niech mi pan na pocieszenie powie choć jaki „dobry kawał".

Tuwim zamyślił się ponuro. Widzę, że zamierza mnie dobić.

— Niech pan zgadnie zagadkę:

„Pierożek drewniany
Zimnem mięsem nadziewany"

co to jest?



— ? ? ?

— Trumna z nieboszczykiem...

Przeszedł mnie dreszcz zgrozy. Po chwili Tuwim dodał:

— To jest ostatni „dobry kawał" jaki słyszałem. Niech pan go przyjmie jako symbol naszej dzisiejszej rozmowy, z której wynika, że praca „w humorze", jak i w każdym innym zawodzie może być zarówno ciężka, jak i wprost ponura.

* * *

Smętnym krokiem tułałem się nocą po ulicach Warszawy.

Nagle...

Ciszę nocną przerywa tupot nóg biegnącego mężczyzny.

Spoglądam...

— Hej! Panie! Dokąd pan leci?

— Pst... — mówi Adolf Dymsza. Niech mnie pan nie zdradzi. Założyłem się z trzema jegomościami, który z nas dalej podbije laską złotówkę. Oni zostali na Marszałkowskiej a ja pędzę na plac Teatralny. Gdy wrócę powiem im, że aż tam znalazłem swojego złotego. Oczywiście wygram zakład!

— Hhuhuhu!!

— Psss! Cicho! Leć pan ze mną.

Lecimy. Po drodze Dymsza pyta:

— Coś pan taki smutniak?

— Mam zmartwienie.

— Jakie zmartwienie? Kto dziś ma zmartwienia?

— Przestałem wierzyć w dobre kawały. Nikt mi nie potrafi odpowiedzieć na pytanie, co to jest właściwie „dobry kawał", jak on powstaje i t. p...

— Panie! — przerywa Dymsza — cóż pan za herezje wygaduje! „Dobre kawały" to chleb powszedni. Zajdź pan do mnie do teatru, zobaczy pan, co tam u mnie w garderobie się wyrabia. A czy rozmawiał pan na te naukowe tematy z Walterem?

— Nie rozmawiałem.

— To pan nic jeszcze nie wie o humorze. Coś panu poradzę. Niech pan z nim zrobi wywiad.

Robię wywiad z Władysławem Walterem.

Nie wiem jak zacząć. Nigdy nie robiłem wywiadów.

Świta mi w głowie, że Walter jest „gwiazdą". Trzeba więc robić wywiad po amerykańsku. Jak w Hollywood.

— Szanowna gwiazdo! — zaczynam. — Jak się pan zapatruje na kino?

Walter odczekuje minutę filozoficznego namysłu, wreszcie odpowiada:

— Należy się cieszyć, że wśród naszych artystów filmowych niema Grety Garbo, Ramona Novarro i Marleny Dietrich.

— Dlaczego należy się cieszyć? — pytam zdumiony.

— Bo dzięki temu, że ich niema, mamy obrazy dźwiękowe. Gdyby brali udział w naszej produkcji, wszystkie obrazy musiałyby być nieme!

— ? ? ?

— Dla bardzo prostej przyczyny. Nie znają języka polskiego.

— Mistrzu — szeptam po chwili — a jak pan spędza dzień? Co pan np. robi najpierw, gdy się pan zbudzi?

— Najpierw ziewam. Potem myślę, że warto by się było jeszcze trochę przespać. Kładę się spowrotem, usypiam, a gdy się powtórnie obudzę, natychmiast zabieram się do włóczkowej roboty. Robię na drutach ciepłe skarpetki na zimę. Potem wstaję, wącham rezedę i do południa myślę, że życie jest piękne, zwłaszcza w czwartki, gdy są... flaki. Po obiedzie między 3-cią a 4-tą myślę, co będzie jutro na obiad.

O piątej idę do kawiarni i przyglądam się grającym w bilard i przychodzę między piątą a szóstą do przekonania, że praca ludzi uszlachetnia.

Następnie idę do teatru, aby w chwilach wolnych od grania upominać się o gażę. Po skończonem przedstawieniu wychodzę z teatru, myśląc przyjemnie, że jednak jestem genjalnym aktorem, albowiem udało mi się nietylko odebrać gażę, ale jeszcze naciągnąć dyrektora na pięć złotych a konto.

Wreszcie idę na kolację, zjadam na noc coś lekkiego np. kotlet z aluminium i wracam do domu, aby odmieszkać to, co jestem winien gospodarzowi. I tak mi dzień upływa... — tu łza wzruszenia zakwitła w oku Waltera — wśród radości, włóczki, słońca i flaków. Uważam, że pięknie.

— A czy pan lubi konie? — pytam natarczywie dalej. — Może woli pan koniak?

— Nie ulega wątpliwości, że bardziej mi smakuje koniak niż konina.

— Przejdźmy do innych spraw. Jak się pan zapatruje na sprawę kupna przez Japonję północnej części Sachalinu?

— Po jakiego djabła pchają się tak daleko? Po pierwsze zimno, a po trzecie napewno tam jeszcze nie ma tramwajów, nie mówiąc już... po drugie. Niech im pan to odradzi! Koniecznie!

— Jeszcze jedno, droga gwiazdo. Co to jest właściwie „dobry kawał"?

Walter skupia całą swą uwagę. Ja drżę w oczekiwaniu, że stanie się coś wielkiego.

Takiem już jest życie.

Wreszcie powoli, słowo po słowie pada głęboka myśl:

— Najmilszym, najbezpieczniejszym, jest dobry kawał... sztuki mięsa z sosem chrzanowym po większej wódce!

Dowiedziałem się! *R. Burz.*



Juljan Tuwim (poniżej) przy pracy nad „Słownikiem pijackim" (na lewo). Fot. „As"



Na prawo: Władysław Walter, „as" komików rewjowych w „naturze" i... w opinji „niewtajemniczonych"



To warto poznać..

NA SCENIE.

Teatr w Bydgoszczy zamyka swój sezon dramatyczny doskonałem przedstawieniem „Poskromienie złośnicy“ Szekspira z bardzo dobrą Wieczorkowską w roli złośnicy i Wilamowskim, grającym rolę poskromiciela. Sztukę stylowo wyreżyserował Korecki z Poznania.



Równocześnie w teatrze bydgoskim graną jest miła operetka Falla „Róże Florydy“, gdzie czarująco rolę bohaterki gra i śpiewa Marja Nochowicz (na ilustracji) a wesołość budzi J. Fontanówna. (swh).

NOWE PŁYTY.

Lucyna Szczepańska, primadonna Opery Warszawskiej, śpiewa na płycie Syrena piosenkę z operetki „Wesoła wdówka“ — „Wilia“. 9455.

Znane tango „Tina“ (Kennedy, Grosz, Włast) ukazało się ostatnio na płycie Syrena w wykonaniu Chóru Juranda. 9450.

Jeden z przebojów filmu „Poszukiwaczki złota“ — „Remember my Forgotten Man“ (Dubin Warren), ukazał się również na płycie Syrena 7880, w wykonaniu angielskiej orkiestry Ed. Lloyde'a.

„Moon Glow“ foxtrot, (Hudson, Wills, De Lange), który był grany przez wszystkie najsławniejsze orkiestry świata — znajdujemy w doskonałem wykonaniu Joe Venuti i jego orkiestry na płycie Pollydor 1837.

Tango „So schön wie Du...“ i fox „Heute fühl' ich mich so wunderbar“ (N. Brodsky) to melodje z filmu „Piotruś“ w wyk. przemiłej Franciszki Gaal. Oba utwory „His Master's Voice“ JD 20. (jot)

NA NAJLEPSZEJ FALI.

Niedziela, 21 kwietnia.

G. 10: Nabożeństwo z Pelplina i reportaż z przed kościoła.

12.15: Audycja świąteczna ze Lwowa. „Wesoły nam dziś dzień nastał“.

13: Fragment słuchowiskowy „Pan Geldhab“ Aleksandra Fredry z A. Zelwerowiczem.

13.15: Dalszy ciąg audycji świątecznej ze Lwowa: „Wesołe jajko Wielkanocne“.

15: „Marzanka“ — słuchowisko ludowe.

21: „Loża Szyderców“ p. t. „Poezja w kuchni“.

21.30: Koncert solistów. Wykonawcy: Helena Zboińska-Ruszkowska, Janusz Popławski i Józef Smidowicz.

Poniedziałek, 22 kwietnia.

G. 10.05: Transmisja nabożeństwa z Poznania. Po nabożeństwie: Muzyka polska.

12.15: Poranek muzyczny z Filharmonji Warsz. złożony z utworów Edwarda Griega.

16: Koncert solistów. Wykonawcy: Irena Dubiska, Aleksander Michałowski i prof. Ludwik Urstein.

19.30: Wiadomości sportowe.

20: „Dyngus, Śmigus! Suita Sygietyńskiego w wyk. solistów i Ork. P. R. pod dyr. kompozytora.

21: Koncert symfoniczny. Ork. P. R. pod dyr. Grzegorza Fitelberga i Henryk Sztompka.

Wtorek, 23 kwietnia.

12.05: Koncert orkiestry kameralnej.

15.45: Koncert Małej Orkiestry P. R.

18.45: Arje operetkowe i ich przeróbki jazzowe.

19.30: Wiadomości sportowe.

20: „Tylko dla dorosłych“ — audycja starych piosenek.

21: „W 5-lecie Rozgłośni Lwowskiej“ — rewja artystów lwowskich.

Środa, 24 kwietnia.

G. 13: Menażerja muzyczna.

15.45: Koncert orkiestry Tadeusza Seredyńskiego z udziałem H. Czaszkówny.

19.25: Wiadomości sportowe.

20: Walczyki wiedeńskie.

20.40: Transmisja z Teatru „La Scala“ w Medjolanie „Aida“ — opera G. Verdi'ego.

Czwartek, 25 kwietnia.

G. 12.30: L. v. Beethoven: Symfonja c-mall Nr. 5, pod dyr. Sergjusza Kussewickiego.

13.10: Koncert Orkiestry Kameralnej Adama Hermana. „Bajki muzyczne“.

19.25: Wiadomości sportowe.

20: Turniej Revellers'ów.

21: Koncert w wykonaniu Orkiestry Symfonicznej P. R.

Piątek, 26 kwietnia.

12.05: Lekkie Trio salonowe.

13: Fragmenty z op. „Halka“ St. Moniuszki.

15.45: Muzyka lekka w wyk. Małej Ork. P. R.

18.45: Melodje z filmów dźwiękowych.

19.25: Wiadomości sportowe.

20.05: Pogadanka muzyczna i Koncert symfoniczny z Filharmonji Warszawskiej. Wykonawcy: Ork. Filharm. pod dyr. Willy Ferrero. W programie muzyka włoska.

Sobota, 27 kwietnia.

G. 12.05: Koncert.

17.10: Najnowsze nagrania na płytach.

18: „Wesoła rewja dla dzieci.

20: Wesoła audycja ze Lwowa. „Rapsodja lwowska“.

21: Koncert symfoniczny złożony z utworów kompozytorów skandynawskich w wykonaniu Orkiestry Symf. P. R.

22.30: „Kukułka Wileńska“.

ZAKŁADY GRAFICZNE „ILUSTROWANEGO KURYERA CODZIENNEGO“ W KRAKOWIE POD ZARZĄDEM FELIKSA KORCZYŃSKIEGO.